№ 25. Warszawa, dnia 23 (11) Czerwca 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Szanownym abonentom naszym przypominamy zbliżający się termin kwartalnej przedpłaty i prosimy o zamówienia wczesne, ażebyśmy im mogli w porę zadość uczynić.

LIKWIDACYA ZBANKRUTOWANEJ FIRMY.

„Kto je papieża, umiera z niego." Chociaż przysłowie to widocznie narodziło się w Watykanie i chociaż mu zaprzeczyło wiele wypadków, w których papieża bez żadnego niebezpieczeństwa zjadano, przyznać wszakże trzeba, że zawiera ono pewną niewątpliwą prawdę, mianowicie: kto chce rozszerzyć swą władzę kosztem pogwałcenia uczuć religijnych, zwykle zostaje przez nie pokonany. Doświadczył tego na sobie ks. Bismark. Przed 10 laty zapragnął on zmiażdżyć katolików niemieckich i na ten cel, przy pomocy narodowo-liberałów, ukuł młot ustaw majowych. Młotem tym rozbijał nielitościwie głowy duchowieństwa i ludności katolickiej, aż wreszcie znużył się daremną pracą i spostrzegł, że zamierzonych skutków nie osiągnął i tylko nadał opornemu żywiołowi więcej hartu. Trzeba było pomyśleć o odwrocie tem więcej, że partya (centrum), która w ogniu „walki kulturnej" powstała, rozmnożyła się najliczniej i skutkiem tego ujęła w swe ręce losy wszystkich państwowo-społecznych projektów niemieckiego rządu. Osaczony przez nią lew próbował najrozmaitszych sposobów wydobycia się z matni: usiłował zawrzeć przymierze z ultramontańskim lisem, ryczał i bił ogonem z gniewu, zdobywał się na najśmielsze skoki — wszystko nie pomogło, wytrawny strzelec ultramontański i dowódzca obławy, poseł Windhorst w pole wyprowadzić się nie dał. Nareszcie przyszła chwila dla takiego człowieka, jak kanclerz niemiecki straszna, upokarzająca, chwila kapitulacyi przed nieprzyjacielem. Bismark wniósł do sejmu projekt, uchylający znaczną część ustaw majowych — twierdza „kulturkampfu" poddała się, a dziś idzie już tylko o to, czy jej załoga ma wyjść z bronią i honorem, czy też, zburzywszy własnemi rękami swe mury, złożyć splamiony oręż. W każdym razie sromota nieunikniona, bo komendant tej załogi, głowa narodowo-liberałów, artylerzystów „kulturkampfu," złożył swój mandat — zemknął przed kapitulacyą. Nie mógł on znieść widoku zagważdżania armat, które sam przed dziesięciu laty gorączkowo odlewał i z których tak był dumnym.

Nie teraz dopiero zaczął się chwiać moralny kredyt stronnictwa, które — jakby dla ironii — ochrzczono „narodowem" dla tego, że pomagało do tępienia niegiermańskich narodowości, i „liberalnem" dla tego, że gwałciło najelementarniejsze prawa swobody. Już od lat kilku rozbite, uszczuplane emigracyą pierwiastków szlachetniejszych, sponiewierane, jak wszelka niepotrzebna do usług podłość, przez swego pana, czuło ono przedsmak śmierci. Ustawy majowe były dla niego jeszcze racyą poderwanego bytu, siłą dawnego tryumfu, wreszcie ostatnim punktem oparcia. Dopóki w państwie miały przymusowy obieg akcye „kulturkampfu," podpisani na nich poręczyciele istnieć mogli. Gdy jednakże ks. Bismark zapowiedział wycofanie tych zdyskredytowanych papierów, bankructwa firmy niczem się już zażegnać nie dało. Projekt nowych praw kościelnych jest właśnie ogłoszeniem jej upadłości, a co najmniej likwidacyą.

Co projekt ten zapewnia katolikom? Ponieważ znajduje on się obecnie w mennicy sejmowej i nie wiadomo z jakim kursem na świat wybiegnie, więc wartości jego ściśle oznaczyć nie możemy. W każdym razie, gdyby nawet w ogniu rozpraw komisyi a następnie sejmu nie stracił obfitych domieszek władzy dyskrecyonalnej, gdyby nawet z niego nie starto ulubionej ks. Bismarka maksymy: *sic volo, sic jubeo*, rozszerzy on znacznie swobodę kościoła katolickiego w Niemczech i zada cios śmiertelny narodowo-liberalizmowi, który przed śmiercią jeszcze widzi z rozpaczą, że i dzieciom poznańskim pozwolono uczyć się religii w szkole po polsku.

Jeżeli po tylu latach rząd musi uznać swój błąd, musi sam gruchotać system, którym się tak pysznił, niewątpliwie ów rząd jest zwyciężonym; ale kto zwycięzcą. Papież — Windhorst — ultramontanie? Bynajmniej. Zwycięzkiem jest tu tylko prawo swobody uczuć i zasad, nigdy nieprzedawnione i niezniszczalne, a zasługujące na szacunek, czy się nazywa katolicyzmem, czy duchoborstwem, czy wiarą, czy niewiarą. Ks. Bismark, narodowo-liberalizm, człowiek lub partya, wprowadzający gwałt jako zasadę polityki, prędzej czy później muszą przegrać walkę. Tylko ci mężowie stanu, którzy dla odparcia roszczeń papizmu, dla przecięcia ultramontańskich sieci i wydobycia społeczeństw z pod klerykalnych wpływów, uznali kościół jako stowarzyszenie rozbrojone, ale wolne, bez władzy świeckiej, ale i bez prześladowań— ci tylko mogli i mogą zwyciężać. Wszelkie zaś postronki, kajdany, plagi, cały arsenał środków brutalnej siły celu nie osiąga a nawet wywołuje skutki wprost przeciwne zamierzonym. Dzięki właśnie okrucieństwu ustaw majowych, które pakowały księdza do kozy za odprawianie mszy bez pozwolenia władzy, zamiast chudych, zaczęły się w Niemczech tłuste lata dla krów ultramontańskich.

Nigdy tam klerykalizm tak nie spotężniał — rzec można — nie rozzuchwalił się,

jak w okresie walki kulturnej. Do najważniejszych zagadnień politycznych i społecznych wplata on nici średniowiecznego fanatyzmu z takim spokojem, jak gdyby z tej przędzy tkała się główna osnowa naszego stulecia. Niedawno Windhorst ostro karcił z trybuny parlamentarnej Du Bois-Reymonda za przychylną wzmiankę o Darwinie na publicznem posiedzeniu Akademii berlińskiej. Nieraz zdawało się, że sejm jest jakąś dysputą teologów z epoki Lutra. I czemu on takich głosów słuchał? Bo po przez wszystkie brednie, śmieszności i fanatyczne wybryki przebijała się nuta skargi protestu przeciw gwałtom, popełnianym na sumieniu ludzkiem. Katolicy domagali się dla siebie swobody, tej samej swobody, której używa uprzywilejowana wiedza lub religia — a wtedy mieli po swej stronie wszystkich ludzi uczciwych i tolerancyjnych.

Takich narodowo-liberalizm do swych szeregów nie werbował. To też upadł, zbankrutował, kona we wzgardzie i ruinie, nie mogąc pokryć długów swej sromotnej działalności, a nikt mu nie pisze litościwego nekrologu. Bazyliszek zabił się własnem żądłem a pozostawia tak marne potomstwo, że ono chyba odrodzi się w zmienionej postaci ze złych instynktów ludzkich— których nigdy nie zbraknie. Rzekliśmy wyżej, że tej zniesławionej firmie los nie oszczędził może najboleśniejszego ciosu, mianowicie musi ona przed zgonem patrzeć na to, jak rząd łamie ostrze swej germanizacyjnej kopii skierowanej przeciw tej części ciała państwowego, w którą bezkarnie zatapiano wszelkie noże i sztylety. Po rozporządzeniu z 27 kwietnia r. b., nakazującem niemiecki wykład religii w szkołach poznańskich, spadło przed kilku dniami na rozgorzałe zapalczywością głowy wszelkich inspektorów, burmistrzów i innych rzeźników narodowości naszej nowe rozporządzenie, odwołujące gwałt dawny i polecające przywrócić *natychmiast* język polski w wykładzie religii. Narodowo liberalne twarze, których spotykamy najwięcej między ogrodnikami germanizacyi, wyciągnęły się niemile; kij, którym ci cywilizatorowie bili dzieci polskie za nieumiejętność odmawiania pacierza niemieckiego (autentyczne), wypadł z ich ręki — słowem epoka „kulturkampfu“ na wielką skalę minęła a jej bohaterowie przynajmniej częściowo okiełznani. Mówimy: częściowo, gdyż okres gwałtu z jednej a męczeństwa z drugiej strony niewątpliwie pociągnie się dalej. Tylko w banieczniku, którym się nacina skóra poznańska i wyprowadza krew polska, wyłamano jeden nożyk.

NOWY FIGIEL STAŃCZYKA.

Wbrew jasno wyrażonej woli ofiarodawców, wbrew zdaniu większości komitetu i prasy, w dowcipnych głowach kilku galicyjskich brandmajstrów od „straży pożarnej wylągł się projekt postawienia pomnika Mickiewiczowi nie na Rynku, lecz gdzieś tam w końcu miasta, pod rogatkami prawie, na nieistniejącym placu, przed nieistniejącym gmachem. Pomimo protestów niezależnej prasy i wydziału Koła literackiego rozpoczęto agitacyę, której echa odbiły się w Warszawie. W obronie myśli galicyjskich hrabiów, narzuconych tym razem — o zgrozo! przez fotografię, wystąpił warszawski hrabia Przeździecki i natychmiast poparła go cała czereda dobrowolnych i niedobrowolnych giermków, twierdząc, że „w Krakowie projekt ten cieszy się powszechną popularnością.“ Świadome kłamstwa, patryotyczne „kawały“, zdania *ad hoc* zaimprowizowanych powag — wszystko wprawione zostało w ruch dla skuteczniejszego obałamucenia opinii.

Od chwili sformowania komitetu pomnikowego, każdy prawie z zasiadających w nim mężów zaufania wystąpił z swoim oddzielnym konceptem. Prezydent miasta życzył sobie, ażeby Mickiewicz stał przed ratuszem, p. Estrejcher, żeby przed biblioteką, a pewien fotograf wnosił, żeby statuę umieścić w niszy, obok jego wystawy. Zdrowy rozsądek ogółu i żądanie młodzieży, która pierwsza rzuciła myśl i podłożyła podwalinę pod pomnik, przemogły — wybrano historyczny Rynek, jako jedyną miejscowość, na której stanąć może pomnik — nie Mickiewicza profesora lub poety, ale pomnik narodowego wieszcza, bojownika idei — wzniesiony składkami całego narodu.

Że pp. hrabiom i ich służbie to się nie podobało, nic dziwnego, bo jak dowcipnie zauważył bezimienny autor epigramatów w *Prawdzie:*

Mickiewicza? Na rynku? Myśl godna zuchwalców?
A któż przy nim zobaczy naszych wielkich malców.

Bo i co za jeden był ten Mickiewicz. Prosty szlachcic zaściankowy, literat i profesor. Bitw nie wygrywał, nie podpisywał traktatów, nie wyrabiał „dla kraju“ koncesyj, nie stał „przy tronie austryackim i przy religii przodków“, wreszcie nie był deputatem własności większej. Temu jakobinowi, który śmiał podnieść zuchwałą rękę na dziedzictwo Ojca św. i nietylko *in odore sanctitatis*, a może nawet pod klątwą umarł, najlepiej byłoby wcale nie stawiać pomnika. Kiedy jednak naród tego chce — trudno płynąć przeciw wodzie, tylko... należy posąg usunąć w ciche ustronie, żeby nie kompromitował naszej prawowierności. Zresztą, jeżeli ten szaraczek zajmie najlepsze miejsce, gdzież w przyszłości staną pomniki hr. Stasia, p. Pawła i innych filarów?

Dobrze również świadczy o patryotyzmie stańczyków następująca propozycya. Zgadzamy się na Rynek—powiadają oni—ale w zamian żądamy pomieszczenia pomnika Piusa IX w katedrze na Wawelu. Tylko za cenę wpuszczenia na Wawel *świętego epileptyka* możecie wznieść odpowiedni pomnik narodowemu poecie — inaczej nie!

Jakiem prawem ta garstka utytułowanych zuchwalców śmie wichrzyć, odwlekać sprawę, rzucać w twarz całemu narodowi obelżywe propozycye i po tem wszystkiem znajdować jeszcze w prasie obrońców i zwolenników? Myśl wzniesienia pomnika — nie do nich należy, pieniędzy nań nie dawali, a uchwyciwszy ster sprawy w swoje ręce prowadzą ją niedołężnie i więcej szkodzą, aniżeli pomagają. Smutne to świadectwo dla naszej dojrzałości mo-

---

[1]

W wieczór zimowy.

OBRAZEK

przez

Waleryę Marrené.

Był to piękny dzień zimowy: ziemię okrywał śnieg świeżo upadły, ścięty mrozem, niepokalany a tak rażąco biały, że aż wpadał w błękitnawą barwę. Wspaniałe, jasne, chłodne, styczniowe słońce świeciło na niebie bez chmury, odbijało się na całej powierzchni ziemi i czyniło ją podobną do brylantowego kobierca. Kobierzec ten mienił się barwami tęczy, skrzył się, płonął, migotał, olśniewając wzrok miliardami drobnych kryształków, które gdzieniegdzie obsiadły drzewa czyniąc je srebrnemi, a gdzieniegdzie unosiły się jak pył świetlany, w powietrzu.

Szczęśliwi mieszkańcy miast wielkich lubią dnie podobne; to też około południa ulice Warszawy roiły się tłumami; termometr wskazywał tylko kilka stopni mrozu, był to więc czas najsposobniejszy do pokazania pięknych futer i świeżych twarzyczek, które z pod przezroczystych woalek świeciły pięknym rumieńcem i żywem spojrzeniem.

Sanki z wesołym dźwiękiem dzwonków mknęły środkiem ulicy a tłumy snuły się po asfalcie chodników, zatrzymywały się przed wystawami sklepów lub kierowały szybko ku Saskiemu ogrodowi, gdzie zamarzła sadzawka wabiła amatorów ślizgawki.

Szły też młode panie i młodzi ludzie, pobrzękując łyżwami tam, gdzie wesołe dźwięki muzyki wtórowały śmiałym posunięciom i zręcznym zwrotom łyżwiarzy.

Około sadzawki stały gromadki ludzi, przypatrując się zabawie. Widowisko to nie składało się z samych strojnych pań i panów, było tam wiele uliczników i ubogich dziewcząt, które spoglądały z zaciekawieniem i zazdrością na ludzi ciepło ubranych, swobodnych, zadowolonych, ślizgających się po lodzie, jak po powierzchni życia, bez troski.

Wśród tego tłumu szły dwie strojne kobiety: młodsza w puszystym kołnierzu z czarnych lisów, z rękami schowanemi w malutki zarękawek, w którym nie zmieściłyby się z pewnością zwykłe pracujące dłonie, miała przewieszone przez rękę łyżwy z błyszczącej stali, które za każdym krokiem odbijały jak w zwierciedle promienie słoneczne i wydawały dźwięk metaliczny. Szła prędko, tak iż starsza kobieta dążyła za nią z trudnością. Młodszej pilno było snać do zabawy, starsza ociągała się za pieskiem, którego prowadziła na wstążce.

Był to charcik angielski, jasno kawowego koloru; on także ustrojony był w paltocik z szafirowego sukna, podbity czarnemi barankami. Pomimo jednak ciepłego okrycia i własnej szerści delikatny charcik drżał całem ciałem i szedł za swoją panią, jak kapryśny dzieciak, opierając się jej woli, tak, iż błękitna wstążka, przywiązana do obroży, wyciągnięta była w całej długości, a pani daremnie zachęcała go głosem, wołając na niego: Dear, Dear! Dear widocznie głuchy był na to wołanie.

— Jakże gorąco — mówiła młodsza, zwracając się do swojej towarzyszki.

— Gorąco, bardzo gorąco — odparła ta ostatnia, zmordowana ociąganiem się pieska.

— Po co ja wzięłam to futro—zawołała niecierpliwie, pokazując na swój elegancki paltot, pokryty aksamitem.

W futrze jednak pozostała; nie musiało ciężyć jej zbytecznie, bo pobiegła na lód, a dobywszy z kieszeni portmonetkę, zapłaciła za wejście i wnet przypasawszy łyżwy, ukazała się zwinna i chyża na gładkiej powierzchni.

— To prawda, że gorąco — powtarzała tymczasem starsza kobieta sama do siebie.

— Gorąco — szepnął za nią głos jakiś cichy, stłumiony i przerywany, jak gdyby drżały usta, z których wychodził.

Strojna pani nie obejrzała się, może nie usłyszała go nawet, w tej chwili cała jej uwaga skierowaną była na pieska, ale

ralnej i społecznej — nawet pomnika naszemu największemu poecie postawić nie możemy bez intryg, bezczelnych targów i prywaty.

Ale rozpatrzmy ów nowy projekt. Pomnik Mickiewicza stanąć ma na placyku przed *Collegium Novum*. Pomijając wykazany już błąd estetyczny, umieszczenia pomnika w stylu odrodzenia na tle gotyckich gmachów i zieleni drzew, wiadomo, że plac nie istnieje jeszcze.

Dla powiększenia go (jak wykazują pisma niezależne), potrzebaby zająć część ogrodów i ulicy Gołębiej, zniżyć poziom ogródka przy bibliotece, co odkryłoby na półtora łokcia fundamenty tego gmachu i kosztowałoby wszystko około 100,000 złr. Lecz wtedy jeszcze mielibyśmy plac wcale nieodpowiedni, a w dodatku wychodziłyby nań należące do gimnazum św. Anny gospodarskie budynki, które ludzkiemu oku nastręczać się nie powinny. Autorowie nowego pomysłu starają się pochlebić młodzieży, umieszczając pomnik przed uniwersytetem.

Alež chyba młodzież tym farbowanym lisem zjednać się nie pozwoli.

Puszczono także w ruch drugi, ciekawy argument, przeznaczony dla nieświadomych stanu rzeczy warszawiaków, mianowicie: Mickiewicz spoglądać będzie na Kościuszkę a Kościuszko na Mickiewicza, ta zaś rozmowa nietylko dla obu bohaterów będzie przyjemną, ale dla ogółu budującą. Koncept nieszczególny i zupełnie godny ludzi, którzy sami siebie ochrzcili błazeńskiem mianem. Warszawa jednak, jak utrzymują humorystyczne pisma krakowskie, „złapała się“ na ten figiel. Nie wiemy, czy się złapała, ale że łapano, wątpliwości nie ulega. Otóż objaśnić winniśmy nieznających miejscowości, że to „oczkowanie“ Mickiewicza z Kościuszką jest również fałszem, poeta patrzeć może jedynie na austryacką wojskową rajtszulę, która zupełnie zasłania kopiec.

Rzetelniejsze i krytyczniejsze pisma galicyjskie założyły również swoje *veto*, a obecnie przyłączyło się do nich Koło literackie, które rozesłało protest przeciw intrygom mniejszości komitetu do wszystkich pism polskich. Dziwna rzecz doprawdy: komitet wyraźnie postanowił wznieść pomnik na Rynku, w wykonaniu tej myśli rozpisany został ostateczny konkurs, i właśnie ci, którzy najgłośniej rozprawiają o karności, jako pierwszorzędnym czynniku społecznym, zamiast dać z siebie przykład i wobec jasno wypowiedzianego zdania większości poświęcić osobiste zapatrywania — intrygują, nie przebierając wcale w środkach. W walce tej krakowskiemu organowi moralnego porządku wytrwale wtórują warszawskie filie. Spodziewać się należy, że celu swego nie dopną; ale te ciągłe matactwa, odwlekające do nieskończoności stanowczą uchwałę, ta niepewność, czy ofiarowane pieniądze użyte będą według myśli ofiarodawców — wpływają fatalnie na osłabienie składek i dziwić się temu nie można, bo każdy z nas chętnie daje zaoszczędzony grosz, wtedy jedynie, gdy jest przekonany, że go warcholstwo nie zmarnotrawi dla dogodzenia swym osobistym zachciankom.

L.

JAK ŻYWI SIĘ, MIESZKA I PODRÓŻUJE ROBOTNIK.

Wiara w dobroczynne skutki wolnego współzawodnictwa, stanowiąca długi czas podwalinę państw mieszczańskich, wzniesionych na ruinach feodalizmu, chwieje się coraz bardziej. Państwo obecnie stara się poddać swemu nadzorowi i ten zakres stosunków ekonomicznych, w którym dawniej panowała najzupełniejsza swoboda. Protegowanym jest zawsze stan czwarty. W tej chwili mamy do zanotowania kilka objawów troski o jego żywność, mieszkanie i podróż.

Naprzód co do pierwszej. Zwłaszcza wielkie miasta, a w nich klasy najniższe, stały się polem najniegodziwszej spekulacyi dla dostarczycieli pokarmów, nietylko u nas, ale w całej Europie. Wedle najnowszych sprawdzeń chemicznych mleka sprzedawanego w Paryżu okazało się, że 47% tego produktu są zupełnie niezdatne do użycia i szkodliwie fałszowane. *Economiste français* przekonywa, że z 3361 prób powszechnie używanego wina, zbadanych w laboratoryum miejskiem w Paryżu, 202 zawierały przymieszkę ciał trujących, 2802 przedstawiały gatunki bardzo liche, a tylko 357 stanowiły wino zupełnie czyste i dobre.

Fałszowanie produktów spożywczych w większych miastach doprowadzone jest do takiej doskonałości, że konsument wyśledzić go nie może. Skutkiem tego mieszkańcy miast, zwłaszcza biedniejsi, niemający środków na kupno pokarmów lepszego gatunku, skazani są na powolne zatruwanie swego organizmu. To też pomiędzy chorobami, rozpowszechnionemi w większych miastach, szeroko rozpostarł swe niszczące działanie t. z. nieżyt żołądka i kiszek, wycieńczający powoli głównie uboższą ludność.

Walka z fałszowaniem produktów w Anglii, gdzie w r. 1872 ustanowiono ścisły nadzór nad sprzedażą mianowicie pokarmów żywności, może służyć za wzór dla prawodawstwa innych krajów w tym przedmiocie. Ustanowiono tam osobnych urzędników, którzy utrzymywali kontrolę przy współudziale biegłych. Oskarżonych o sprzedaż złych lub zepsutych produktów poddawano sądom karnym dla przeprowadzenia ścisłego śledztwa. Nazwisko i miejsce pobytu kupca, dwukrotnie oskarżonego, ogłaszano w dziennikach. Ten ostatni środek wywołał ze strony handlarzów taki opór, że wreszcie w r. 1875 udało się im osiągnąć zniesienie tej niewygody. Podobne przepisy w tym względzie zaprowadzone zostały (1879) i w Niemczech, gdzie nazwisko kupca ogłasza się nawet w razie jego uniewinnienia. Obok tych środków sądowo-administracyjnych, inną bronią walki z fałszerstwem produktów są doświadczalnie, czyli laboratorya chemiczne miejskie, w których każdy może z łatwością sprawdzać podejrzane próby towaru. Doświadczalnie takie istnieją prawie we wszystkich większych miastach europejskich i ogłaszają sprawozdania, w których piętnują kupców i sprzedających produkty zepsute i sfałszowane.

U nas takiej kontroli niema — gdyż doraźnych odkryć i kar policyjnych za ubezpieczenie zdrowia ludności uważać nie można— i dla tego klasy uboższe karmią się tem, co im rozkiełznana z wędzideł spekulacya sprzeda.

Drugiem złem życia wielkomiejskiego, działającem również zgubnie, są niehygieniczne mieszkania i domy, budowane przez chciwe zysku lichwiarstwo. Tu wyzyskiwanie i poniewieranie cudzego zdrowia przechodzi wszelkie granice. We Francyi jeszcze od r. 1850 istnieje prawo, dozwa-

---

gdyby się obejrzała, zobaczyłaby bardzo pospolity widok.

Pomiędzy tłumem, zgromadzonym u brzegu sadzawki, przesuwała się kobieta, okryta kraciastą chustką, wypełzłą i wytartą długiem użyciem, której tkanina obciskała jej wątłe ramiona i zapadłe piersi. Z pod chustki widać było suknię wełnianą, czarną niegdyś, dziś zrudziałą zupełnie; a ile razy noga wysunęła się z pod jej fałdów, można było dostrzedz bucik prunelowy, pęknięty w kilku miejscach. Na głowie miała okręconą mniejszą włóczkową chusteczkę jasnego koloru, podziurawioną i obszarpaną, z pod niej wymykały się nad czołem kosmyki jasno - kasztanowatych włosów, których sploty dostrzedz można było także z tyłu przez rzadkie oczka i dziury chusteczki.

Cała powierzchowność kobiety świadczyła o nędzy i opuszczeniu, a zarazem o jakiejś przeszłości lepszej. Zniszczone rzeczy, jakie miała na sobie, przystosowane do jej figury, nie były pierwszym lepszym łachmanem, kupionym przypadkowo lub rzuconym ręką miłosierdzia. Suknia, jakkolwiek ruda i wytarta, była z kaszmiru, chustka musiała nawet kiedyś być gustowną, zanim promienie słońca, deszcze i śniegi spłukały jej pierwotną barwę, a ręka, którą przytrzymywała ją na piersi, chociaż zsiniała i popękana od zimna, miała przecież drobne, delikatne kształty.

Ręka ta, jak cała powierzchowność, zdawała się mówić o lepszej przeszłości a twarz zbiedzona, zżółkła i wychudła mówiła o niej wyraźniej jeszcze. Teraz zarówno choroba, zgryzota jak i wiek mogły jej nadać pergaminową barwę i wyżłobić owe głębokie bruzdy przecinające czoło, owe surowe rysy, które ściągały na dół kąty ust i nadawały całej twarzy wyraz zupełnego opuszczenia.

A jednak pod tą powłoką, narzuconą fizycznem czy moralnem cierpieniem, może jednem i drugiem, łatwo było dopatrzeć śladów pierwotnej piękności. Rysy jej były delikatne, z po za zwiędłych, zsiniałych ust widać było drobne ząbki, białe i równe, a oczy, choć otoczone czerwoną obwódką łzawą, miały przecież blask nieprzyćmiony jeszcze.

Teraz jednak opuszczenie zapanowało zarówno w jej powierzchowności jak wyrazie twarzy, zdawała się wylękłą, prawie ogłupioną, wyglądała z pozoru na istotę, którą okoliczności rzucają, bo ona oprzeć im się nie potrafi. Przesuwała się pomiędzy tłumami bez pośpiechu, jakby szła gdzieś, ale dojść nie było jej pilno. Chwilami zatrzymywała się uderzona myślą jakąś, a wówczas ponury ogień zapalał się w jej oczach, zataczała niemi w koło, jakby szukała czegoś... kogoś... i nie znalazłszy, przybierała znowu ten ponury wyraz rozpaczliwego spokoju, który zdawał się świadczyć, że nie spodziewała się już niczego, a los swój przyjmowała, bo zwalczyć go nie była w stanie.

Tylko kiedy strojne kobiety skarżyły się przy niej na zbytnie gorąco, usta jej powtórzyły bezwiednie ten wyraz, bo członki jej były skostniałe a zęby dzwoniły.

Kilkustopniowy mróz mógł wydawać się lekkim dla istot zdrowych, sytych, wyspanych, odzianych starannie, ale mróz ten przenikał do kości jej ciało, zaledwie łachmanami okryte.

— Gorąco, o o... gorąco— szepnęła, spoglądając mętnemi oczami na strojną panię.

I wzrok jej zatrzymał się na niej i na piesku, którego prowadziła.

Charcik rozkaprysił się na dobre; delikatna jego główka chowała się i kurczyła, znikając prawie w baranku paltocika, cienkie nogi zdawały się stąpać ostrożnie po iskrzącym śniegu, a z pyszczka wyrywały się krótkie, urywane szczekania, podobne do skarg pieszczonego dziecka.

Pierwszy raz zapewne widziała psa tak starannie chronionego od zimna, bo spoglądała na niego długo.

— Dear, Dear — powtarzała tymczasem jego właścicielka, głaszcząc go pieszczotliwie.

Ale on zdawał się głuchym na te oznaki czułości i skomlał ciągle.

— Co to pieskowi — mówiła dalej kobieta, nachylając się ku niemu—czego piesek płacze.

lające zarządom miejskim zmuszać właścicieli domów do niezbędnych ulepszeń w razie, jeśli komisya biegłych uzna jakieś mieszkanie za niehygieniczne. W razie oporu ze strony właściciela domu, zarząd miejski ma prawo zabronić wynajmu niezdrowych lokalów. W Anglii w r. 1857 przeprowadzono ustawę o mieszkaniach dla robotników, wedle której winny one czynić zadość głównym warunkom hygieny. I tam również przedstawiciele zarządu miejskiego mogą żądać przeróbki domów wedle odpowiedniego planu.

U nas mniej zamożne masy ludności miejskiej, wskutek rozszerzonego fałszerstwa produktów żywności i zabójczych mieszkań, powoli, nieznacznie marnieją, zabijane trucizną lub duszone wyziewami. Zebrano przed kilku laty komisyę, rewidującą domy, ale rezultaty jej badań, nasyciwszy przez kilka miesięcy głodną wrażeń reporteryę, na poprawę warunków sanitarnych nie wpłynęły.

Główne ognisko kraju, Warszawa, która powinnaby przodować i stanowić wzór dla innych miast, pod względem zdrowotnym jest jeszcze bardzo zacofaną. Przedmioty najpierwszej potrzeby życia są albo bardzo liche, albo bezczelnie podrabiane. Dawniej sypano do mleka mąkę, dziś miesza się ono już z wapnem. Korzystanie z nielicznych pracowni chemicznych w celach rozbiorowych jest u nas zbyt utrudnione a nawet kosztowne, dla tego zarządy miast winnyby pomyśleć o ściślejszej kontroli nad zdrowotnością mieszkań i produktów żywności, o ubezpieczeniu ludności biedniejszej przeciwko niecnej spekulacyi.

Przechodzimy do trzeciego pytania. Na wiosnę i w lecie corocznie śród ludności fabrycznej i rolnej objawia się żywy ruch i przenoszenie się z siedzib zimowych w okolice, przedstawiające najwięcej pola do zarobku. W Królestwie Polskiem, a zwłaszcza w Cesarstwie ruch ten, przy wielkich przestrzeniach i drogich środkach komunikacyi kolejowej, przedstawia dla ludu trudności niemałe a straty czasu i kosztu bardzo wielkie. Dla tego często widzimy całe tłumy robotników, odbywających pielgrzymkę o suchym kawałku chleba na przestrzeniach nieraz tysiącwiorstowych. W lichem obuwiu, z tłomokami i narzędziami pracy na plecach, wystawieni na zawieruchy i zimno, bez noclegu pod dachem, wędrują oni pieszo, częstokroć wzdłuż kolei żelaznych. Te mozolne wędrówki zwróciły świeżo uwagę w Petersburgu t. z. komisyi Kachanowskiej. Wyjaśnia ona fakt tą okolicznością, że masy robotników wyruszają właśnie wtedy, gdy im się już przez zimę wyczerpały środki do życia, poprzednio nagromadzone. Chętnie korzystaliby oni z kolei, ale, niestety, w węzełkach ich pozostały tak szczupłe okruchy, że nie mają czem opłacić kosztów przewozu.

Czas zmarnowany na podróż pieszą stanowi znaczną dla nich stratę, dającą się bardzo łatwo obliczyć. Jeśli robotnik musi przebyć np. wiorst 400, zamiast odbyć tę drogę koleją w ciągu 12 do 15 godzin za 5 rubli wedle średniej taryfy III klasy — idąc po 25 wiorst dziennie, może przybyć na miejsce zaledwie w dni 16.

Pomimo jednak tak wielkiej straty, ponoszonej przez robotników przy podróżowaniu pieszem, zmuszeni są oni do tej smutnej konieczności. Wskutek tego wspomniana komisya podniosła kwestyę potrzeby zaprowadzenia znowu wagonów klasy IV-tej na drogach żelaznych polskich i rosyjskich. Niektóre koleje w państwie zaprowadziły już na swoich liniach t. z. pociągi robocze a inne wagony kl. IV z taryfą po $^3/_4$ kop. od wiorsty. Większość dróg niema klasy IV i prawdopodobnie jej nie zaprowadzi, dopóki nie zostanie zmuszoną.

Tu zanotować winniśmy, że kolej W.-Wiedeńska i Bydgoska, zniósłszy pociągi robocze, nie zaprowadziła wagonów klasy IV, skutkiem czego albo naraziła na wielkie straty ziemian, posiadających majątki w oddalonych punktach i przewożących w miarę potrzeby robotnika, albo też skłoniła ich do przepędzania (dla oszczędności) sił roboczych pieszo.

Doprawdy już czas, ażeby wyłączną zasadą naszego życia i urządzeń nie była dbałość o wygodę możnych, lecz także pamięć o biednych.

Cz.

WYSTAWA SZWAJCARSKA.

Zurych, 16 czerwca.

Wystawa krajowa w Zurychu zwróciła na siebie szeroką uwagę. Życie i działalność Szwajcaryi uwidocznione są tutaj znakomicie. Zakres niniejszego artykułu nie pozwala mi długo zatrzymywać się przy szczegółach, nakreślę zatem ogólny szkic tylko główniejszych gałęzi produkcyi szwajcarskiej.

Rozpocznijmy pobieżny ten przegląd od jednej z główniejszych tętnic nowoczesnego przemysłu, od wyrobów bawełnianych. Grupa ta, reprezentowana przez 70 firm, dowodzi wysokiego stosunkowo rozwoju w przędzeniu tkanin, jak i w bieleniu ich, farbowaniu i drukowaniu. Szwajcarya posiada dzisiaj około 1,854,000 wrzecion, zużywających rocznie 230,000 kilocentnarów (kilocentnar = 100 kilogramów) bawełny. Wywóz roczny gotowego wyrobu za granicę dochodzi do 60,000 kilocentnarów. Krosien mechanicznych dla wyrobu białych tkanin liczy Szwajcarya około 17,000, dla wyrobu zaś pstrych — 6,000. Wywóz tkanin surowych wynosi około 37,000 kilocentn., bielonych zaś farbowanych i drukowanych — 94,000 kilocentnarów rocznie. Nie wszystkie tkaniny drukowane w Szwajcaryi są pochodzenia miejscowego; drukarnia w Glarus np. otrzymuje znaczną ilość angielskich i niemieckich wyrobów surowych do wykończenia. Największe zasługi w udoskonaleniu tkactwa krajowego położyły firmy: Grämiger w Wallenstadt i Caspar Honegger w Rüti. Tkaniny pstre ostatniej firmy rozchodzą się obficie we Francyi, Niemczech, Włoszech i Hiszpanii. Przed 40 laty szwajcarskie tkaniny bawełniane znajdowały pokup na rynku europejskim, jako nieustępujące w niczem angielskim. Dzisiaj, zbyt wysokie przywozowe cło zagraniczne tamuje rozwój tej gałęzi produkcyi krajowej. Bielenie i drukowanie, zcśrodkowane w kantonach St. Gallen, Appenzell i Glarus (68 większych i miejszych zakładów fabrycznych), nie ustępuje w doskonałości francuskim i saskim towarom. Materye drukowane otworzyły sobie w ostatnich czasach rynek wschodni i dziś specyalnie go zasilają.

Dear odzywał się coraz żałośniej, patrząc błyszczącemi oczkami na swoją panią.

— Aha! pieskowi zimno, nieprawdaż? piesek się zmęczył, nóżki mu zmarzły — przemawiała czule.

I wziąwszy go na ręce, usadowiła na zarękawku, ażeby się rozgrzał, całowała czule jego pyszczek, a on uspokojony, przyjmował wdzięcznie te pieszczoty jako sobie należne.

Uboga, zziębnięta kobieta nie wiedzieć czego zapatrzyła się w ten obraz, tak iż zdawała się zapominać o mrozie i dopiero kiedy właścicielka wraz z psem zniknęła jej z oczów pomiędzy tłumem przechodniów, wstrzęsła się nagle, opuściła głowę na piersi i wolnym krokiem poszła dalej, przez ogród i Żabią ulicę aż na koniec Leszna, gdzie zajmowała w dworku część pokoiku na facyatce.

Im jednak bliżej była dworku tego, tem szła wolniej, zapomniała widać o zimnie, tylko wzrok jej stawał się bardziej ponury i bruzdy na czole były większe.

Boć po cóż się miała śpieszyć, czy czekało na nią ognisko domowe, czy przynajmniej serce jakie kochające, przy którem użalićby się mogła? Wiedziała, że w izbie zastanie tylko puste kąty i bijących się Maciejów, od których odnajmowała jeden z tych kątów, że oni upominać się będą o zaległe komorne, a co najgorsze, że tam na tapczanie, służącym jej za posłanie, zastanie pewno dziecko swoje kwiląee i głodne.

Dola jej była bardzo zwyczajna, surowy moralista potępiłby ją niezawodnie i zapewne miałby słuszność, każdy zresztą przyznać musiał, że na swój los zasłużyła. Bo i czemuż uwierzyła miodowym słówkom, pięknym obietnicom i gorącym pocałunkom. Gdyby nie to, żyłaby tak, jak to czyniła przez lat kilka, na tej wąskiej granicy, która oddziela pracowity żywot od nędzy.

Historya jej była historyą tysiąca dziewcząt, rzuconych bez opieki na bruk miejski. Ojciec był urzędnikiem, umarł młodo, nie wysłużywszy emerytury, matka zapracowała się i zamartwiła, a ona została w lat szesnaście sama na świecie.

Jedynym jej zasobem na drogę życia była odwaga młodości. Nie umiała nic, więc wzięła się do igły i chodząc do szycia po domach prywatnych zarabiała żywność i 2 złote dziennie. Co prawda w szyciu nie była bardzo biegłą, ale nagradzała to pilnością, dobrą wolą i uśmiechem, który pomimo trudnego bytu nigdy z jej ust nie schodził. Uśmiechała się zaś sama nie wiedziała czemu, bo była młodą, bo nie rozmyślała głęboko ani nad swoim losem, ani nad warunkami, w których się znajdowała, bo bawiło ją wszystko, co widziała wkoło.

Nie była ona wtedy nic a nic podobną do bladej, zwiędłej, skostniałej kobiety, jaką stała się teraz. Kiedy przechodziła ulicą albo Saskim ogrodem, bądź rano, bądź w południe, bądź nad wieczorem ubrana w skromną, czarną sukienkę i wczarnym kapelusiku, które zimą i latem nosiła, każdy bez wyjątku obejrzał się za nią.

Może nie była piękną, ale oczy jej miały blask taki, usta taką purpurę a czoło było tak jasne i pogodne pod kasztanowatemi splotami, które się nad niem wznosiły, że zdawała się żywem wcieleniem młodości. Więc cóż dziwnego, że ludzie oglądali się za nią. Kogoż urok młodości nie pociągnie? Jedni oglądali się, bo byli sami młodzi. inni znów oglądali się za tem, co minęło niepowrotnie.

Ona przecież nie zważała na nikogo, ludzie mogli zabiegać jej drogę, jak chcieli, ona szła swoją własną i pracowała, pracowała, jak mrówka, od rana do nocy, byle zdobyć sobie zaspokojenie najpierwszych potrzeb. Nie szło to łatwo. Za mieszkanie wprawdzie nie płaciła nic, dobrzy ludzie pozwalali jej zająć kątek w swojem mieszkaniu pod warunkiem, by rano, zanim poszła do roboty, lub wieczór, skoro od niej wróciła, zajęła się domowem szyciem około dzieci, których było kilkoro.

Żywność nie kosztowała ją zwykle, bo roboty miała dużo, nieraz nawet był kłopot nielada, komu dać pierwszeństwo, gdzie pójść naprzód, gdzie potem, ażeby nikogo nie obrazić, ale zdarzały się znów czasy, gdzie wszyscy się rozjechali i trzeba było żyć z grosza lub zapożyczyć się nawet. Więc było jej ciężko. Przytem w niedziele

Przemysł jedwabny (66 wystawców) od lat kilku rozwija się dosyć szczęśliwie — wyłącznie prawie w kantonach Zurychu (42,000 osób) i Bazylei (12,000 osób). Surowego produktu dostarcza kanton tesyński w ilości 170,000 kilogramów poczwarek, a głównie zagranica (przeszło 3 miliony kilogramów). Wywóz wyrobów jedwabnych wynosił w 1881 r. 1.152,300 kilogr. materyi, 1.965,400 wstążek i 819,000 gazy. Ale cło i konkurencya tamują rozrost.

Wyroby wełniane (12 tylko wystawców) nie ustępują w niczem zagranicznym; współzawodnictwo Francyi i Niemiec ogranicza produkcyę krajową, dochodzącą zaledwie do 11—12 milionów fr., gdy tymczasem przywóz roczny przedstawia wartość 45 milionów fr.

Przemysł lniany (39 wystawców) słabo rozwija się bardzo. Półlnianych tkanin dostarcza kanton Aargau, czysto zaś lnianych kanton Bern, gdzie ręczne jeszcze pracują warsztaty. Szwajcarya sprowadza płótno głównie z Belgii.

Hafciarstwo natomiast stanowi główną gałęź szwajcarskiego przemysłu, która w ostatnich latach nadzwyczajnego dosięgła rozwoju. W 1872 r. liczono zaledwie 6,300 krosien mechanicznych w trzech tylko kantonach, dziś takich krosien liczą 14,800 w 13 kantonach. Gałęź ta stała się karmicielką kantonów; St. Gallen, Appenzell, Thurgau i części zurychskiego, a St. Gallen uczyniła pierwszem miastem handlu wywozowego pod względem wysokości sumy obrotowej. 45,000 osób pracuje w tej gałęzi, produkując rocznie towar wartości 80 milionów fr. Cienkie, ręczne hafty do 1857 r. słynęły na całym świecie; udoskonalenie maszyn i przesilenie amerykańskie (1857) poderwały ręczny przemysł. Dziś zaczyna się on znacznie podnosić i znajduje popyt ze strony cudzoziemców, przybywających do Szwajcaryi. Na wystawie wyroby hafciarskie reprezentowane są znakomicie (100 wystawców): piękne kobierce, poduszki, serwety, chustki itd. odznaczają się bardzo gustownym doborem barw i starannem wykończeniem wzorów.

Niema zapewne kraju, gdzieby przeciętnie tyle wydawano pieniędzy na ubranie, jak w Szwajcaryi. Krawcy też słyną. Współzawodnictwo jednak ze strony niemców, mogących dostarczać tańsze ubrania, wzrasta ciągle; w wschodniej Szwajcaryi tylko znajduje ono pewien opór od lat kilku, dzięki nadaniu przemysłowi temu charakteru praktycznego. Stosuje się to do ubrania męzkiego. Kobiece i dziecinne ubrania należą wyłącznie prawie do przemysłu wewnętrznego.

Wyrób obuwia (57 wystawców) odznacza się trwałością i nie napotyka współzawodnictwa z wyrobami zagranicznemi na rynku krajowym. Znajduje natomiast je w wzrastającym wyrobie fabrycznym (15 fabryk). Skóra na podeszwy dobrze garbowana i bardzo trwała poszukiwaną jest na rynku europejskim, szczególniej w Niemczech i Austryi. Skóry cielęce, również znajdujące popyt za granicą, rywalizują z najlepszemi wyrobami tego rodzaju Europy i Ameryki. Siodlarskie skóry także nie są gorsze od zagranicznych. Cło nakładane przez sąsiednie państwa utrudnia wywóz i sprawia, iż szwajcarskie skóry podeszwowe w większej produkują się ilości za granicą (przeważnie przez szwajcarów), aniżeli w samym kraju. Znaczną część kory dębowej sprowadzać musi Szwajcarya z Francyi.

Przemysł papierowy przyjął w ostatnich latach znaczne rozmiary (59 wystawców). Szwajcarya liczy obecnie 18 papierni, posiadających 27 większych maszyn do wyrabiania tego produktu. Wartość jego ogólna wynosi około 10 — 11 milionów fr. rocznie. Gdyby wszystek ten papier pozostawał w kraju, to każdy mieszkaniec spotrzebować by musiał rocznie 4 kilogramy.

Wyroby słomiane i włosiane ześrodkowane głównie w kantonie Aargau, przedstawiały przed 15 laty (1867/1868) wartość wywozową $10\frac{1}{2}$ milionów fr.; w ostatnich latach wartość ta dochodziła zaledwie do $5\frac{1}{2}$ milionów.

Rzeźba w drzewie (39 wystawców), stanowiąca główne zajęcie mieszkańców górnej części kantonu berneńskiego, szczególniej w Brienz, nie ogranicza się dziś już na małych chatkach górskich, na dzikich kozach i niedźwiedziach, które znajdowały pokup u turystów dla tego tylko, iż ci czuli się niejako obowiązani unieść z sobą, prócz wspomnienia chwil przyjemnie spędzonych, jakąś pamiątkę przedmiotowej krajowej pracy. Teraz sztuka ta zaczyna znajdować zastosowanie więcej praktyczne, mianowicie przy wyrobie mebli, na których fauna i flora alpejska przeplata się z ornamentacyami w stylu odrodzenia. Pokazuje to już, iż Szwajcarya dąży do wydobycia się z rutyny.

Niejedno muzeum zagraniczne zalicza do swych cenniejszych okazów stare jej meble. W starych tych zabytkach, jak widać z obecnej wystawy, szukać ona zaczyna wzorów, co niezawodnie osłabi wpływ Francyi, który przygnębił sztukę szwajcarską i zatamował jej postęp. Kilka lat temu jeszcze brak gustu estetycznego przejawiał się wszędzie w umeblowaniu, dziś uwidocznia się już znaczny postęp w nadaniu wyrobom stylu, przypominającego „renaissance.“

Maszyny, figurujące na wystawie powszechnej paryzkiej bardzo skromnie, reprezentowane są tutaj znakomicie (144 wystawców). Pięć wielkich maszyn i pewna ilość mniejszych motorów wprowadza w ruch odpowiednio urządzoną transmisyę podziemną. Fabryki Escher-Wyss w Zurychu i Sulzer w Winterthur, zatrudniające razem 2,800 robotników, znane są w całej Europie. Pewne znaczne ulepszenia, poczynione w maszynach parowych, wodnych i gazowych są dziełem firm szwajcarskich. Wywóz maszyn wynosił w 1881 r. 142,481 kilocentnarów, przywóz zaś tylko 58,335. Stowarzyszenie przemysłowe w Neuhausen wyrabia tramwaje dla Niemiec, Włoch, Hiszpanii i dla wielu prowincyonalnych miast francuskich. Jest to objaw charakterystyczny.

Wyroby metalowe (185 wystawców), stanowiące jedną z młodszych gałęzi tutejszego przemysłu, pomimo znacznej konkurencyi zagranicznej, stoją na dość wysokim stopniu postępu i znajdują pokup zagranicą. Roczna produkcya żelaza surowego wynosi tylko 90,000 kilocentn., jest ono nadzwyczaj mocnem i elastycznem. Dostarczają go kopalnie w Jura i Plons (St. Gallen). Srebrne i miedziane rudy znajdują się w Glarus, Graubünden, Wallis itd., nikel — w Wallis. Eksploatacya piasku złotego wskutek braku odpowiednich maszyn nie opłaca się. Oprócz rud Szwajcarya posiada torf, asfalt (14,335 ton rocznie), sól kuchenną (reńskie saliny dostarczają 37,0000 ton rocznie), marmur, granit, asbest, serpentyn itd.

Zegarmistrzostwo jest specyalną gałęzią przemysłu kantonów francuskich: genewskiego, Vaud, Neufchâtel i Jury berneńskiej. Maszynowy wyrób zegarków roz-

---

i święta musiała się żywić własnym przemysłem, a zresztą samo kupno sukienek, trzewików, rękawiczek, kapeluszy wyczerpywało jej szczupłe zasoby, dość że zawsze była bez grosza. A przytem trzeba sobie było odmawiać wszystkiego, nawet marnej wstążki, którą nieraz ożywić chciała surowość swego stroju. Nie miała też nigdy przyjemności żadnej, przechodziła nieraz koło teatrów, widziała, jak ludzie kupowali bilety, ale wewnątrz nie była nigdy. Jedyną jej rozrywką była zmiana miejsca. Czasem siedząc schylona cały dzień w oknie nad robotą widziała przeciwległe ściany, czasem błękit nieba, a czasem jaki szmat zieleni.

Przecież była młodą, świat uśmiechał się do niej, przemawiał tysiącem pokus. W domach, w których brano ją do roboty, były dziewczęta młode jak ona, szyła dla nich rozmaite ubrania; dziewczęta te bawiły się, przyjmowały gości, wychodziły strojne na wieczory, teatry, koncerty, spacery i rozmawiały o tem wszystkiem co widziały, rozmawiały czasem pomiędzy sobą, a często z nią także. Wówczas ona słuchała, słuchała całemi uszami.

I nieraz igła wypadła z drżącej ręki, bo serce jej biło tak mocno, iż utrzymać jej nie była w stanie. Myślała o tem wszystkiem, co mówiono wkoło niej, a w myśli jej słowa stawały się kształtem, tworzyły obrazy, które napełniały jej głowę tem wszystkiem, czego nie znała i zaznać nie była powinna.

Miała i ona wprawdzie niedziele i święta. Ale dnie te naprzód tworzyły wielką szczerbę w jej budżecie, tak iż często bardzo kiedy miała jaki sprawunek, lub jaka część ubrania zdarła się prędzej niż powinna, dnie te przepędzała bez pożywienia. Ludzie, u których mieszkała, zwykle w dnie podobne proszeni byli na obiad z dziećmi do bogatej ciotki i tam zostawali dzień cały.

A przytem biedakom niedzieli mieć nie wolno, oni znają ją tylko z nazwiska. Ponieważ ten jeden dzień w tygodniu należy do nich, muszą go poświęcić własnej osobie, jeśli zupełnie opuścić się nie chcą. Tak było z nią.

Dzień jej roboczy zaczynał się o dziewiątej rano a kończył się o siódmej. Przytem często bardzo musiała iść na drugi koniec miasta i tak samo powracać. Wstawała rano i późno szła spać, jednak pomimo to brakło jej zawsze czasu zrobić coś dla siebie, bo musiała przecież najprzód ponaprawiać rzeczy domowe, a dzieci darły tak strasznie, że nigdy tej naprawie nastarczyć nie mogła. Nieraz więc czuwała późno w noc i pomimo to nie miała chwili, którąby mogła na własną korzyść obrócić. Pozostawała więc jej tylko niedziela.

Dnia tego, jeśli była bardzo znużoną, wstawała trochę później, niż zwykle, piła w domu śniadanie, którem częstowano ją zawsze, potem ubierała się starannie w najnowszą sukienkę, brała książkę do nabożeństwa w wytartych okładkach, która należała jeszcze do jej matki i szła do kościoła. Tam modliła się gorąco, jak ją nauczono, jak modlą się zwykle ci, dla których życie jest macochą, a potem wracała do domu. Wówczas zdejmowała swoją sukienkę, otrzepywała starannie i włożywszy starą, szyła i naprawiała dla samej siebie, albo też prała garnirunki i kołnierzyki na cały tydzień następny, bo czysty rąbek koło rąk i szyi był to jedyny zbytek, na jaki sobie pozwalała. Nie jest to jednak mały zbytek dla biednych ludzi, bo zwykle wieczór zapadał a ona jeszcze roboty swojej nie ukończyła. I tym sposobem niedziela nie różniła się wiele od dni powszednich, a raczej różniła tem tylko, że dnia tego była bez obiadu a często i bez herbaty.

Czasem też, ale bardzo rzadko, w piękne dnie wiosenne szła na spacer. Ze spacerów tych jednak wracała zawsze smutna i rozdrażniona. Póki pracowała, myślała tylko o tem, co miała do roboty, na spacerze zaś przychodziło jej, Bóg wie co, do głowy. Naprzód sprawiały jej przykrość owe tłumy ludzi strojnych, wesołych, zbitych w gromadki, co przesuwały się koło niej. Wobec nich czuła daleko więcej swoje sieroctwo, osamotnienie, ubóstwo, byłaby chciała znaleść się gdzie samej jednej śród zielonego trawnika lub szpaleru, gdzieby ją nikt nie zobaczył i gdzie ona nie widzia-

winął się przeważnie w tej ostatniej. Genewa jest środkowym punktem wyrobów, odznaczających się dokładnością i elegancyą zewnętrzną. Główny rynek dla zbytu w Chaux-de-Fonds. Roczny wywóz przedstawia wartość 80 milionów fr. Szwajcarya posiada 8 szkół zegarmistrzowskich; w Genewie, Locle, Chaux-de-Fonds, Neufchâtel, St. Imier, Bienne (Biel), Fleurier i Pruntrut. Dział ten liczy 292 wystawców.

Przyrządy naukowe i instrumenty muzyczne wszelkiego rodzaju, jak: organy, fortepiany, harmonie, skrzypce, cytry, trąby, bębny, dzwony przedstawiły się dosyć pokaźnie. Również sztuka drukarska, fotografia i kartografia pięknych dostarczyły okazów.

Z chemicznych produktów uwydatnia się najwięcej zbiorowa wystawa farb sztucznych z Bazylei. Roczna produkcya ich dochodzi do 12 milionów fr.

Piece kaflane i wszelkie wyroby garncarskie odznaczają się elegancyą i artystycznem ubarwieniem; cementowe kamienie, rury, podłogi itd., znane są powszechnie.

Z wyrobów należących do działu pokarmów i napojów (412 wystawców) wspomnieć należy produkty mleczne, jak ser i masło, wyroby czekoladowe, wino, piwo i t. d. Wywóz sera (główne punkty: Langnau w Emmenthal, Langenthal i Bern) doszedł w 1880 do 836,000 kilogr., mleka kondensowanego — 11½ milionów kilogr. Czekolada, produkowana w ilości 22,000 kilocentnarów (Suchard w Neufchâtel i Springli w Zurychu) pomimo współzawodnictwa Francyi, Niemiec i cła ochronnego, znajduje pokup zagranicą (4,500 kilocentn.). Roczna produkcya wina wynosi 1 milion hektolitrów, piwa do tejże dochodzi cyfry (38 litrów piwa na osobę, w Würtembergu — 192, w Bawaryi — 235 litrów. Z zagranicy sprowadza Szwajcarya jeszcze około miliona hektolitrów wina i 70,000 piwa. Zagranica dostarcza jej także chmielu i jęczmienia w znacznej ilości.

Produkcya tytoniu, wynosząca 10,000 kilocentn. rocznie, stanowi zaledwie dziesiątą część wszystkiego zużywanego towaru, przedstawiającego wartość około 8,000,000 fr. (na jedną osobę z palących przypada 11 kilogr. rocznie).

Dział rolniczy jest. Rada Związkowa przeznaczyła 70,000 fr. na premie dla wystawców w celu podtrzymania upadającego rolnictwa. W 1868 r. krajowa produkcya zboża wynosiła 3,804,000 kilocentn., przywóz zaś z zagranicy tylko 1,679,000; w 1878 r. produkcya spadła do 2,470,000 kilocentn., a zagraniczny przywóz wzrósł do 3,375,000. Szwajcarya wydaje zatem na zboże około 200 milionów fr. rocznie. Przyczyną tego zmniejszania się płodności zbożowej jest przewaga wzrastającego przemysłu krajowego (60% ludności). Ze zbożem i maszynami gospodarczemi połączono na wystawie pszczolnictwo (146 wystawców) i zwierzęta domowe.

Leśnictwo, myśliwstwo, rybołowstwo i klub alpejski zeszły się w oddzielnym pawilonie, zbudowanym z prostego drzewa i kory, jednak gustownie. Pawilon ten do przyjemnych i tęsknych zarazem usposabia dumań. Tu życie alpejskie, upostaciowane w martwych okazach przyrody wszystkich trzech jej państw, przeplata się z dziełami ręki ludzkiej, tworząc obraz pełen poezyi i prostoty. Plany, szkice, akwarelle, portrety zasłużonych przewodników górskich, modele statków, sieci, grupy zwierząt i ptaków na skałach umieszczonych, głowy jelenie, broń palna itd. ugrupowane są harmonijnie i przyjemne sprawiają wrażenie. Klub alpejski urządził prócz tego oddzielną chatę alpejską. Turysta, zaskoczony nocą lub burzą, znaleźć tu może schronienie wygodne i bezpłatne.

Kląby, obsadzone różami, pelargoniami i innymi kwiatami, przedstawiają ogrodownictwo krajowe; daleko lepiej jednak dział ten reprezentują brzegi jeziora Zurychskiego, które pod tym względem nie ma sobie równego w świecie. Oleandry, granaty, hortensye, figi, cytryny, pomarańcze itd, zdobią wokoło gęsto usiane domy mieszkalne. Ogrodownictwo w ogóle rozwija się, znajdując odpowiednie dla siebie warunki klimatyczne, chociaż nie dorównywa jeszcze Belgii i Holandyi.

Żaden kraj nie posiada tak rozmaitych dróg komunikacyjnych, jak Szwajcarya. St. Gotardzka kolej żelazna pozostanie arcydziełem inżynieryi, koleje zaś, prowadzące na góry: Rygi i Uetli, dowodzą możliwości śmielszych jeszcze przedsięwzięć. Długość szyn wynosi 2,618 kilometrów (1881); 550 lokomotyw i 68 statków parowych przewozi około 26 milionów osób i przeszło 6 milionów ton towarów (1881). Ilość depesz telegraficznych w stosunku do ludności przewyższa cyfry innych krajów. Na 1000 mieszkańców liczono w 1880 r. 972 telegramy, podczas gdy w Wielkiej Brytanii i Irlandyi tylko (1878) 634, w Holandyi 497, w Belgii 428, w Francyi 334, w Niemczech 263. Co do ilości listów, to W. Brytania tylko i po części Stany Zjednoczone wyżej stoją od Szwajcaryi. Na jedną osobę przypada tu (1880) 24,9 listów i kart pocztowych, w W. Brytanii 35,4, w Stanach Zjednoczonych 25,2, w Niemczech 15,3, we Francyi 13,1, w Belgii 12,6 (1878). Dział poczty wystawił statystyczne tablice graficzne, kolorowane co do ilości listów, kart pocztowych krajowych i zagranicznych, posyłek pieniężnych, gazet itd., i co do dochodu z opłat za czas od 1849 do 1882 r. Tablice te wykonane zostały przez trzech mieszkających tutaj polaków.

Telefon znalazł w Szwajcaryi także praktyczne zastosowanie, szczególniej w Zurychu, gdzie jeden przypada na 53 mieszkańców. Mapy, plany, płaskorzeźby, modele regulacyi rzek, dróg, osuszania błot, kanalizacyi, mostów itd., znajdujące się na wystawie, dowodzą wysokiego rozwoju inżynieryi (74 wystawców).

Dział oświaty publicznej (432 wystawców) na szczególniejszą zasługuje uwagę. Ogródki dziecięce, szkoły elementarne, średnie, uniwersytety (Bazylea, Zurych, Bern i Genewa), akademie (Lozanna i Neufchâtel), Politechnika (Zurych), szkoły przemysłowe (Bazylea, Genewa, St. Gallen i Zurych), seminarya nauczycielskie, żeńskie zakłady naukowe, wszelkie stowarzyszenia, jak: statystyczne, przyrodnicze, meteorologiczne, geograficzne, paleontologiczne, botaniczne, historyczne, biblijne itd., reprezentowane są jak najlepiej. Wystawione są tu roboty uczących się, podręczniki, sprawozdania, statystyki, programy itd. Statystyka C. Groba, sekretarza oświaty publicznej w Zurychu, w 7-u tomach, wydana w r. b., zawiera wszystkie cyfry tyczące się szkół szwajcarskich i jest jedynem tego rodzaju dziełem w literaturze powszechnej. Szwajcarya nie naprożno wydaje 18 milionów fr. na szkoły.

Prasa także posiada oddzielny pawilon. Kongres jej przedstawicieli zwołany przez komitet centralny wystawy ma się odbyć między 30 czerwca i 2 lipca.

Wielkość i znaczenie narodu w wysokim stopniu zależą od jego warunków hygie-

---

łaby nikogo. Ale gdzież to w Warszawie i do tego w niedzielę znaleść takie miejsce.

Czasem znów przychodziły jej chętki jakieś dziwaczne i bezsensowne, byłaby chciała jak ptaszek rozpuścić skrzydła i lecieć gdzieś, gdzieś, daleko; lub jak ta chmurka płynąć po błękicie. Zaczynało ją nużyć to jednostajne, mordujące życie, jakie wiodła od lat kilku. Uśmiech zrazu gość nieustanny na jej ustach, teraz ukazywał się na nich rzadziej, było jej coraz smutniej, coraz nudniej. Nie zapytywała samej siebie dlaczego to? bo nie była przyzwyczajoną do zdawania sobie ścisłej sprawy z uczuć, tylko czasem stawały jej w myśli długie szeregi dni jednostajnych, które miały być jej udziałem, a wówczas byłaby chciała umrzeć odrazu, gdyby śmierć nie przejmowała ją strachem a nadewszystko, gdyby była pewną, że nie umrze gdzieś w szpitalu.

Myśli podobne nasunął jej wypadek. Zaziębiła się kiedyś, dostała silnej gorączki, bolu głowy i pierwszy raz w życiu nie mogła pójść do roboty. Ludzie, u których mieszkała, mieli tylko parę pokoików a dzieci kilkoro, lękali się jakiej zaraźliwej choroby. Wówczas to obił się o jej uszy wyraz szpital i przejął ją dreszczem trwogi. Szczęściem skończyło się na febrze. Ale od tego czasu nie miała już chwili spokoju, dręczącą zmorą była dla niej myśl o szpitalu, wiedziała, że zaprowadziłaby ją tam każda choroba. Gdyby jednak myślała o nim dnie i noce całe, nie miałaby sposobu zabezpieczyć się od tej strasznej ewentualności, wiedziała o tem dobrze, dręczenie jej było daremne.

Przecież los jej nie był gorszym od losu innych. Nie miała powodu się uskarżać, wiedziała dobrze, że wiele pracownic igły było jeszcze w nieszczęśliwszych warunkach, bo ona przynajmniej miała za swoją pracę dach, chleb powszedni i około 50 złotych na miesiąc. To też radzono jej, żeby coś odkładała na czarną godzinę. Ale ci, co tak radzili, nie wiedzieli chyba, jak wszystko było drogie w Warszawie, zapominali, że kiedy się wychodzi z obowiązku na każdą porę, rzeczy niszczą się szybko bardzo, a w łachmanach przecież trudno się w cudzym domu pokazać.

Wszystko to razem wzięte sprawiało, że było jej coraz mniej wesoło, że uśmiech rzadszym był gościem na ustach, ale pomiędzy uśmiechem a doraźną troską jest jeszcze przestrzeń, której nie przekroczyła, dopóki... dopóki nie rozpoczęła roboty w domu pewnego kamienicznika. A robota to była długa; jedna z panien domowych, Zofia, szła zamąż, więc pełno rzeczy kupowano gotowych, kazano wykończać w magazynach, a niektóre znów robiono w domu i przywołano ją właśnie dlatego.

Panna Zofia sama szyła i przykrawała z nią rozmaite kaftaniczki, czepeczki ranne, a kiedy je przymierzała, uśmiechała się sama do siebie z zadowoleniem, matka zaś mówiła, że będzie ją mąż kochał, bo ślicznie w czepeczku wygląda.

Wówczas panna Zofia rumieniła się jak różyczka, zdejmowała czemprędzej czepeczek i kiwała główką jakby chciała powiedzieć, że matka nie powiedziała nic nowego. Była to bowiem rozkochana para. Kiedy zbliżała się godzina, w której miał nadejść narzeczony, to już panna Zofia nasłuchiwała najlżejszego szelestu i nieraz urywała wpół słowa zaczętą rozmowę, bo sądziła, że słyszy odgłos jego kroków. A kiedy nadszedł, to oczy jej promieniły jakby gwiazdy i szczęście biło z jej spojrzenia, z rumieńca, z uśmiechu.

Narzeczony często przychodził do jadalnego pokoju, gdzie pracowała, szeptał coś do panny Zofii, ale nie szeptał tak cicho, by szyjąca przy oknie nie mogła dosłyszeć wyrazów miłosnych lub też, kiedy zmrok zapadał nie dostrzegła kradzionego całusa. Wszakże ze szwaczką nikt nie robi wielkich ceremonij. Młodzi ludzie siadali zwykle na kanapie w głębi pokoju i wiedli owe nieskończone rozmowy, które zakochani tak prowadzić lubią, lub przerywali je długiemi spojrzeniami, milczeniem, uściśnieniem rąk.

Wówczas ona pochylała się nad robotą, by ukryć palące rumieńce, występujące jej na twarz, bo krew uderzała jej do czoła, pulsowała w skroniach. Nie zazdrościła nikomu, tylko myślała, że panna Zofia była

nicznych—wypowiedział to już swego czasu Disraeli. Dział więc hygieny także znaleźć się musiał na wystawie i objął wszystko, co tylko służy dla ochrony zdrowia publicznego i oddzielnych jednostek, t. j. właściwą hygienę, balneologię i przedmioty ratunku, zapobiegające wypadkom nieszczęśliwym i zabezpieczające od nich, odzież, pokarmy, urządzenia sanitarne, bandaże chirurgiczne, hydroterapia, elektroterapia, wodociągi, rury gazowe, aparaty ochronne dla fabryk, sikawki, urządzenie szpitali, koszar, przepisy sanitarne, statystykę itd. Wszystko to odpowiada wymaganiom dzisiejszej nauki; obojętność, a nawet opór żywiołów wstecznych sprawia jednak, iż piękne te urządzenia i przepisy nie zawsze znajdują zastosowanie praktyczne. Do tej grupy zaliczyćby należało nowy przyrząd do gaszenia ognia, wynalazku A. Masje, rosyanina, mieszkającego w Zurychu. Przyrząd ten znalazł praktyczne zastosowanie w niektórych pawilonach wystawy. Lina wyciągnięta wzdłuż ścian danego pokoju lub sali, pękająca pod wpływem płomienia lub podwyższonej temperatury, opuszcza ciężar przy pomocy dźwigni na guzik od dzwonka, lub odpowiednio urządzony kran od wody i w ten sposób daje znać o pożarze i może go ugasić bez współdziałania człowieka. Przyrząd to prosty i nadzwyczaj praktyczny.

Hotele także przedstawiły się w oddzielnym pawilonie. Jest to właściwe urządzenie hotelu w małych rozmiarach, z wygodą, ale bez zbytku. Szwajcarya liczy 960 tych zakładów, mieszczących przeszło 55,000 łóżek gościnnych; stanowi to wartość 321 milionów fr. z rocznym dochodem 15 do 18 milionów fr. na czysto. W porównaniu więc do innych państw Szwajcarya najtańszym jest krajem dla cudzoziemców.

Stowarzyszenia rozmaite, których stosunkowo bardzo tu jest wiele, także przyjęły udział w wystawie. Dział filantropijny z pomiędzy nich reprezentowany jest najobszerniej.

Przejdźmy wreszcie do pawilonu sztuk pięknych. Nowoczesne malarstwo posiada kilka prac znakomitych. „Echo," w postaci młodej, półobnażonej dziewicy, stojącej na gzymsie skały nad przepaścią i odzywającej się zapewne jakiemuś przechodniowi — Leona Pawła Robert'a i „Rispa" opłakująca swych synów, których król Dawid powiesić kazał, i strzegąca ich zwłok podczas nocy od krążących dokoła i czatujących na żer ptaków — dzieło Spartaka Vela (syna) najpiękniejszemi są ozdobami całej tej galeryi. Dalej zasługują na uwagę utwory Benjamina Vautier: „Wizyta z miasta" i „Wielki mówca" w rodzaju Teniersa i Wuwerman'a, dzieła Rafaela Ritz'a: „Inżynier w górach," „Botanik," „Mineralog" i „Zoolog" Edwarda Ravel'a: „Karykaturzysta" i „Bolesna chwila" (u lekarza), Ernesta Stückelberg'a: „Narcyz" i „Ostatni rycerz z Hohen-Realt" (chce unieść z sobą narzeczoną pewnego młodzieńca, szuka wyjścia z płonącego grodu i rzucić się chce ze swą zdobyczą w przepaść Viamala, lecz lud mu ją odbiera), Carmin'a: „Jedyny tłomacz w domu" (malec czytający list zebranym chłopom), Rudolfa Koller'a: „Zbiór siana" (przed burzą), „Poczta Gotardzka," Lugardona: „Wilhelm Tell ratuje Baumgarten," Vigier'a: „Bohaterska walka szwajcarów z francuzami pod Rothenthurm 1798," Hosch'a: „Bonnivard w Chillon" (bohater genewski z XVI w. uwięziony przez księcia Sabaudyi), Berthoud — „Wiatr wieczorny" (w postaci dziewicy unoszącej się w powietrzu), Ludwika Vegel'a zmarłego przed kilku laty — „Kapucyni w Refectorium" i „Trup Winkelried'a na placu boju pod Sempach" itd.

Z pomiędzy wszystkich okazów rzeźby i modeli gipsowych na największą zasługuje uwagę pełna rzeczywistego artyzmu grupa Wincentego Vela (ojca) „Le vittime del lavoro," mająca pozostać, jako odlew bronzowy, pomnikiem tych, którzy przy budowie tunelu St. Gotardzkiego postradali swe życie. Dzieło to przedstawia jeden z epizodów znanych, powtarzających się często, mianowicie: wyprowadzenie zwłok jednego z górników przez dwóch innych w towarzystwie trzeciego, idącego obok z latarnią; górnik, wchodzący do kopalni, spotyka ten orszak żałobny i przyświecając sobie, z niepokojem spogląda w twarz zmarłego, starając się wyczytać w jej rysach, któremu z jego towarzyszów przeznaczono było stać się nową ofiarą pracy. „Cudzoziemica" i „Przyszły kapitan okrętu" (chłopiec okrętowy, czytający z wielkiem zajęciem gazetę) dłuta Piotra Bernasconiego należą także do lepszych okazów rzeźby.

Ilość zwiedzających wystawę odpowiednią jest wartości pięknego jej urządzenia. W ciągu maja przepłynęło przez nią około 280,000 osób; w następnych miesiącach uczestnictwo zwiększy się niezawodnie.

Wzrok Europy bacznie zwrócić się powinien w stronę Szwajcaryi; zadziwić ona może niejeden kraj swemi wysileniami, jakie wykonywa w walce ze współzawodnictwem zagranicznem. Wystawa w Zurychu mogłaby nam dać wielką naukę, pokazując, do jakiego dojść może rozwoju kraj mały w dziedzinie przemysłu i ogólnego wykształcenia.

Dr. A. Złotnicki.

J. TURGENIEW.

II.

Tak, brakowało w Rosyi przewodników. Czas biegł, ludzie się zmienili, wystąpiły nowe prawdy, nowe ideały. Oderwane rozumowanie i zapalanie się na zimno straciło już racyę bytu; mglista filozofia Hegla i jej niejasni tłomacze ustąpili miejsca wyznawcom materyalizmu; nowy zwrot pojęć Europy Zachodniej oddziaływać zaczął na partyę tak zwanych „ruskich zapadników" i nowym pierwiastkiem krew jej zabarwił. Turgieniew spostrzegłszy i zrozumiawszy zmianę kierunku, spróbował w powieści *Ojcowie i dzieci* ująć w obraz żywy nową odmianę społecznego typu.

Treść powieści, jak zwykle u niego, nadzwyczaj prosta i powtarzająca się. Młody medyk Bazarow, przybywszy do arystokratycznego domu braci Kirsanowych i znalazłszy przeciwników swego obozu, broni własnych przekonań i tym sposobem ma możność należytego zarekomendowania się czytelnikowi. Następnie wyjeżdża do rodziców, zacnych ale zacofanych staruszków na wieś, gdzie umiera, zaraziwszy się jadem trupim.

Bazarow wszystkiemu przeczy, nie wierzy w powagi, nie przyznaje racyi bytu sztuce, ukrywa się z własnemi uczuciami, popada w cynizm, przesadę, która jednakże tak nowością przyjętych teoryi, jak i młodością bohatera się tłomaczy. Młody ten *nihilista*—jak go Turgieniew ochrzcił—

---

bardzo szczęśliwą, dalej może przychodziło jej do głowy, że ona sama także była młoda, zwierciadło mówiło jej wyraźnie, że nie była brzydszą od innych, a kiedy ukradkiem przymierzała czepeczki, tak samo ślicznie leżały na jej włosach, jak na włosach panny Zofii i mąż ją także powinien był kochać. Ale gdzie tam było takiej biednej dziewczynie myśleć o mężu.

Dotąd przynajmniej nie myślała o nim wcale, a choć nieraz wieczorem, kiedy wracała do domu przez ciemne już ulice, słyszała szeptane za sobą rozmaite wyrazy, biegła szybko, nie oglądając się za siebie, przyspieszając kroku, jeśli ją kto ścigał, bo wiedziała, jaki zwykle los spotyka dziewczęta, które podobnych słówek słuchają.

A jednak czy ona także nie mogła kochać, być kochaną? Serce jej biło silnie, gwałtownie, kiedy panna Zofia szeptała z narzeczonym, jakby wyrywało jej się z piersi i skarżyło na to, że uderzać nie miało dla kogo.

Podobne uczucia niebezpieczne są dla biednych dziewcząt, skazanych położeniem i ubóstwem na samotność, wiedziała o tem przecież, że opanowywały ją one coraz więcej, może dla tego, że miała lat dwadzieścia, że pracowała od lat czterech bez wytchnienia, że młodość ma swoje prawa, że miała przed oczami przykład rozkochanych, a wreszcie, że brat panny Zofii, pan Gustaw, był chłopcem ślicznym, co się zowie, wymuskany, szykowny, miał czarne wąsiki i śmiejące spojrzenie. A przyjechał właśnie z Petersburga, gdzie kształcił się na prawnika, na całe wakacye.

Warszawa bywa w tej porze nudną i wyludnioną, pan Gustaw zrazu skarżył się, że wszyscy powyjeżdżali, że nie ma co robić, przecież jak się przypatrzył szwaczce szyjącej wyprawę siostry, przestał narzekać, tylko raz w raz przychodził do jadalnego pokoju i wynajdywał do niej rozmaite interesa, a przytem patrzył na nią takiemi gorącemi oczami, że choć prosił ją o przyszycie guziczka do rękawiczki, lub o coś podobnego, to oczy te mówiły wyraźnie, że ona wydaje mu się piękniejszą od całego świata i że on ją kocha.

Podobne rzeczy mówili jej nieraz młodzi panowie w domach, gdzie chodziła do szycia, nie słyszała ich więc po raz pierwszy i umiała obracać w żarty, lub odpowiadać w ten sposób, że panowie ci przekonywali się prędko o bezskuteczności swoich zamiarów i zostawiali ją w spokoju, i teraz tak uczynić chciała, ale głos wymawiał jej posłuszeństwo, na twarzy czuła ogień a przed oczami rysowała się smukła postać pana Gustawa nawet wówczas, gdy je zamknęła.

Pan Gustaw zrozumiał to zaraz i zaczął mówić coraz ciszej, coraz wyraźniej takie piękne rzeczy, jak gdyby czytał w sercu biednej dziewczyny i wiedział wszystko, co się w niem działo.

Resztę łatwo odgadnąć. Była to powszednia historya upadku jednej z wielu. Pan Gustaw nie był Faustem, ona nie była Małgorzatą, a jednak odegrał się pomiędzy nimi wiekuisty dramat, którego ofiarą padają łatwowierne i nieostrożne. Jej to wina zapewne, czemu taką była, a wreszcie czemu przyszła na nią chwila marzenia, pokusy, bezsilności. Są istoty, którym chwil takich mieć nie wolno.

Przechodziła potem momenty szczęścia, upojenia, trwogi, niepewności, rozpaczy, wstydu. Utraciła tę trochę szacunku, jakim darzyli ją ludzie, którzy dotąd patrzyli dzień po dniu na jej życie czyste jak kryształ, aż wreszcie znalazła się z dzieckiem na ręku w ostatniej nędzy.

Przecież nie był temu winien pan Gustaw. On po skończonych wakacyach pojechał do Petersburga uczyć się dalej. Naturalnie winną była ona sama Zapewne czuła to dobrze, bo nie próbowała usprawiedliwiać się przed nikim.

Wszystko więc było w porządku w tym codziennym dramacie, każdy uczynił to, co do niego należało: on uwodząc, a społeczeństwo odsuwając się od uwiedzionej. Wszakże nie była niewiniątkiem, wiedziała prawdopodobnie, co ją czeka. A choćby i nie wiedziała, to i cóż stąd—to nie byłoby wcale zmieniło położenia.

(D. n.)

choć rozumie się epitet ten miał wtedy najzupełniej inne niż obecnie znaczenie — przedstawiał, bądź co bądź, znakomity zawiązek dzielnego pracownika na polu nauki i pracy posuwającej cywilizacyę naprzód.

Dla czego wszakże kazał mu autor tak młodo umierać? Śmierć Bazarowa jest po pierwsze zbyt przypadkową, powtóre nie pozwala nam widzieć go w wieku męzkiej dojrzałości. Czytelnik widzi, jak młodzieniec, powstawszy z ławki szkolnej, rwie się naprzód, chcąc świat cały nawrócić, depcze pleśń starą przesądu i ciemnoty i wyciąga ręce do świątyni, na której widnieje napis: „wiedza i prawda,“ a w tem dążeniu wybiera jedynie pewną, lecz najtrudniejszą drogę — pracy. Jak wszakże pojęcia jego skrystalizowały się, gdy z młodzieńca stał się mężczyzną, co odrzucił jako naleciałości chwili, a co zachował jako dojrzały owoc doświadczenia i rozumowania, jakie były rezultaty jego pracy, z powieści czytelnik nie wie. Skutkiem tego Bazarow uosobieniem przeciętnego społecznego typu nie jest, choć bardzo się do niego zbliża.

Jak Turgieniew oceniał ogólną zmianę kierunku, widzimy w powieści *Dym*. Tło utworu stanowi Baden-Baden, gdzie zbiera się rosyjskie kółko arystokratyczne, które żadnych charakterystycznych cech narodowych nie posiada, i słusznie, bo tak zwana arystokracya wszędzie ma wspólne przymioty pasorzytów. Ci wielcy ludzie zbierają się codzień, krzątają się, obmawiają, spierają, krzyczą i są najmocniej przekonani, że rozstrzygają zagadnienia społeczne. Na tle tego świata blichtru i fałszu odbijają dodatnie postacie Litwinowa, pozytywisty, i Potugina, gorącego zwolennika cywilizacyi zachodniej. Wzniósłszy się ponad sympatye lub antypatye ogółu, Potugin, jakby z wyższego oddalonego punktu, obserwuje tę wieczną komedyę, co się światem zowie. O Rosyi powiada: „my wszyscy cenimy Zachód nad wyraz, nie wszyscy tylko do tego się przyznajemy. Nie umiemy być wolnymi, potrzebujemy pana; czasem jednakże kierunek jakiś ma władzę nad nami, obecnie np. przed naukami przyrodniczemi wszyscy zginamy kolana; niech wiatr powieje w inną stronę a dym ten uleci w innym kierunku.“

Jeżeli dążenia, ideały, kierunki myśli społecznej uważać mamy za dym, który nas dziś otacza a jutro się rozwieje, to, rozszerzając porównanie, przyznać należy, iż dym ten pochodzi z olbrzymiego warsztatu, w którym ogień rozdmuchuje tchnieniem piersi własnych jeden milion, drugi milion dźwiga ciężary, trzeci odrabia drobne na pozór ale konieczne usługi, jeszcze inny nic nie robi, tylko się kręci i hałasuje; wszyscy jednakże, zarówno robotnicy jak i krzykacze, jeżeli liczba ich jest należycie ustosunkowaną, posuwają pracę w tym olbrzymim warsztacie społecznym naprzód.

W Rosyi pracowników brakowało zawsze. Działalność pojedynczych osobistości była kroplą w morzu wobec ciemnoty i potrzeb całej masy ludności rosyjskiej, której uwłaszczenie włościan nie zbawiło. Gdy zapowiadające się świetne dziesięciolecie reform, podczas którego życie społeczne biło przyspieszonem tętnem, minęło, gdy wszelkie nadzieje zawiodły, wrażliwsze, energiczniejsze jednostki, czując rozbrat swego ducha z otaczającymi warunkami życia, znowu podniosły głowy i wystąpiły do walki.

Przedstawiciele najróżnorodniejszych warstw społeczeństwa, godząc się z sobą w potępianiu tego, co było, utworzyli partyę rewolucyjną, która, aby wyznawane przez siebie teorye wprowadzić w krew całego narodu, oświecenie ludu prostego i wskazanie mu jego potrzeb na pierwszym umieściła planie. Widząc jednak cel, nie znała dróg, jakie do niego prowadzą. Szukanie tych dróg, rzucanie się gwałtowne a bezsilne, wszystkie działania wstępne były czasem na pozór do komizmu drobne, a jednak z natury swej wzniosłe. Był to prolog komedyi krwawej; ukazał go nam Turgeniew w *Nowinie*, z dewizą: „Nowinę należy podnosić nie sochą, ślizgającą się po wierzchu, ale głęboko wrzynającym się pługiem.“

Tu przedstawił on grupę rewolucyonistów, którzy krzątają się, piszą listy, jeżdżą z rozporządzeniami zakulisowego kierownika sprawy z miasta do miasta, ale o celu i o planie działania poucza czytelnika między wierszami. Nakreśliwszy sam ruch żywiołu nurtującego z ujemnej, czasem nawet z lekko komicznej strony, osobom działającym nadaje różnorodne a nawet sympatyczne barwy. Obok kupca Gołuszkina, szukającego tylko popularności, obok zapaleńca Markełowa, znajduje się i Nieżdanow, który na męczennika idei, a przynajmniej na bohatera cierpienia zakrawa, bo, straciwszy wiarę w ideę, której był apostołem, życie sobie odbiera; znajduje się tam i trzeźwo na rzeczy patrzący Sołomin, cichy, ale pożyteczny pracownik, uosobienie równowagi umysłowej. Główną postać Maryanny uważamy za chybioną. Zapowiada się ona bardzo świetnie: ma być naturą szlachetną, energiczną, cudowną. Podobnie jak Helena mówi: „Jestem nieszczęśliwą, ale nie własnem nieszczęściem: cierpię za wszystkich uciśnionych w Rosyi, gotowa jestem umrzeć za nich...“ mówi ładnie, ale oprócz ucieczki ze studentem, przebrania się w wiejskie suknie i pójścia za mąż za Sołomina, gdy Nieżdanow, którego niby kochała skończył samobójstwem, — nic więcej nie czyni. Nieharmonijny duet miłosny czystej Maryanny z Nieżdanowem, urozmaicony powtarzającem się skrzypnięciem klucza, strzegącego jej dziewiczości, ma być bardzo moralnym, a jest w gruncie niesmacznym i stanowi wyjątek z pomiędzy wszystkich erotycznych ustępów powieści Turgieniewa.

Typów społecznych Turgeniew w *Nowinie* nie stworzył, ale znakomicie ujął nowy ruch i jego braki. Za przyczyny niepowodzenia działań wstępnych uważa nietylko nieudolność większej części działaczów, ale również nieprzygotowanie masy narodu, brak pracy organicznej, niesprzyjające warunki miejscowe, jako też prawo konieczności historycznej, która chce, aby w każdej walce pierwsze zastępy ginęły.

Zaznaczyć główne zwroty kierunku świeżego prądu z Zachodu było zadaniem Turgieniewa; dokonał go, przedstawiwszy w szeregu wymienionych powieści rozwojowe zmiany, jakim ulegał typ zrodzony pod wpływem idei zachodnich. Wielbiciel Zachodu początkowo deklamuje na cześć oświaty i odurza się dymem słów własnych (Rudin); czasem przyjmuje tylko polor europejski, zachowawszy wielkoświatową pustkę w głowie i sercu (Panszyn); to znów chce zagłębić się w filozofię niemiecką, ale zagłębić się nie może, bo wszystkiego w niej szukając, oprócz czystej abstrakcyi, przychodzi do wniosku, że pomiędzy filozofią Hegla i życiem ruskiem nic wspólnego niema (Hamlet powiatu szczygrowskiego); następnie krytycznie spogląda na swój własny naród (Potugin); dalej pracuje, studyuje medycynę, leczy chłopów i jednocześnie burzy stare, zczerniałe bałwany, obala spróchniałe ideały, oczyszcza miejsca na budowę nowej świątyni (Bazarow); nareszcie podaje rękę swemu bratu w kożuchu, stawia własne życie na kartę i w nierównej walce ginie. Typ fazy ostatniej w życiu rzeczywistem powiedział już swe ostatnie słowo, w powieści odbicia nie znalazł. Nieżdanow, Markełow (*Nowina*, 1876) są za mali, za chwiejni, za słabi, aby z nich męczenników idei wykroić można.

Polityczno-społeczne *credo* samego autora zaakcentowane już w pierwszych rozdziałach *Zapisek myśliwego*, a wypowiedziane wręcz wyraźnie ustami Potugina (*Dym*), nie ulegało żadnym głębszym zmianom. Cywilizacya zachodnia, stosowana do potrzeb ruskiego narodu, swoboda myśli zupełna względem samego siebie, swych przekonań i swego własnego kraju, nauka, która tę swobodę jedynie daje — oto wierzenia Turgieniewa. „Niemcy, to ciekawy naród i nauczyć się od nich niejednego można“, mówi Chor, nie przywiązuje wagi do zwyczajów, bo przecież „brodę można skosić jak trawę“, a nawet wznosi się do ironicznego punktu widzenia (II, 16). Tenże sam pogląd, choć w formie odmiennej rozwija Potugin. „Brać należy od starszych braci, ale nie dlatego, że obce, lecz dlatego że nam potrzebne“. „Bać się o swoje zdanie, o swoją samodzielność mogą tylko narody nerwowo chore, zachwycać się sobą mogą tylko próżniacy. Jestem zwolennikiem Zachodu, to jest oświaty, z której u nas pokpiwają, cywilizacyi; kocham, wierzę w nią i innej wiary nie mam i mieć nie będę. Jedynie pojęcie cywilizacyi jest i zrozumiałe i święto (V, 33).“ Następnie posyła stare łachmany do archiwum i zaklina pokolenie młode, aby nie sprzyjało myśli, iż można uczynić cośkolwiek, nie ucząc się.

Toż samo wypowiada sam Turgieniew we wstępie do wydania 1880 r. „Nigdy nie uznawałem granicznej linii, jaką zapadli a ciemni sławianofile chcą przeprowadzić pomiędzy Rosyą i Europą zachodnią; czyż jesteśmy tak mało samodzielni, abyśmy się bać mieli wielkiego zewnętrznego wpływu i odpędzać go z dziecinnym strachem, żeby nas nie zepsuł. Nie sądzę, aby moje *zapadniczestwo* pozbawiło mnie współczucia dla życia ruskiego i pojmowania jego właściwości i potrzeb.“

Mniej wyraźnie występują jego przekonania w *Ojcach i dzieciach*, bo autor kryje się z sympatyą dla przedstawionego tam typu Bazarowa i kreśli go przedmiotowo. W objaśnieniu do *Ojców i dzieci* (1868). Turgieniew mówi, że rysował Bazarowa z natury. Przed 1860 r. poznał doktora, który był uosobieniem żywiołu nurtującego, późniejszego nihilizmu; wrażenie, jakie ta osobistość na nim uczyniła, było silne, ale niezupełnie wyraźne. Po wydaniu *Ojców i dzieci* (1862) pokolenie młode, niezadowolone z wizerunku Bazarowa, odwróciło się od Turgieniewa. „Chłód osób bliskich i sympatya stronników przeciwnego obozu smuciły mnie — powiada on; nie miałem wyrzutów sumienia, przedstawiłem ów typ z sympatyą i oprócz poglądu na sztukę wszystkie *prawie* przekonania Bazarowa podzielam.“ Tym razem również nie wypowiada swego zadania o Bazarowie całkowicie, bo nie określa, których mianowicie jego przekonań nie podziela. W tejże samej przedmowie dalej mówi: „Co robić, jeżeli stosunek autora do przedstawionego typu jest jeszcze bardziej nieokreślony, jeżeli sam autor nie wie, czy lubi go, czy nie. Tak się stało z Bazarowem, bo ta sympatya, jaką wyraziłem dla niego, nie jest jeszcze miłością.“

Porównywając Potugina z Bazarowem, widzimy, że w kwestyach wiary schodzą się. Na argument: „lud prosty bez wiary żyć nie może,“ Bazarow odpowiada: „cóż z tego, lud prosty także sądzi, że, gdy grzmi, prorok Eliasz jeździ po niebie, mam się z nim zgadzać?“ Potugin również wierzy tylko w oświatę i cywilizacyę — „innej wiary nie ma i mieć nie będzie.“

Różnią się między sobą w zapatrywaniu na instytucyę małżeństwa: Bazarow znaczeniu małżeństwa kategorycznie przeczy; Potugin je proteguje, popierając swe zdanie przykładami z życia zwierząt, które

pozostają w jednożeństwie i „nic dziwnego, bo i we dwoje ledwo dzieci wykarmić mogą.“

Ponieważ w sprawach polityczno-społecznych zaznaczyliśmy prawie jednobrzmiące zdania samego autora i Potugina, ponieważ sam Turgeniew zdaje się nie zarzekać potugińskich idei (przedm. do *Ojców i dzieci* 1868 r.), przeto, sądzimy, pogląd na małżeństwo jest właśnie tem z pomiędzy przekonań Bazarowa, na co się Turgieniew nie zgadza.

Krytyka potępiła autora za *Ojców i dzieci*, opinia publiczna odwróciła się. „Napisał paszkwil na pokolenie młode, płaszczy się przed pokoleniem młodem, spiskuje wraz z Katkowem przeciwko ruskim młodym siłom!“—krzyczano ze wszech stron chórem niezgodnym.

Dziwnem nam się wydaje, dla czego ruskiej młodzieży Bazarow, przedstawiciel jej przekonań i dążeń, tak bardzo się nie podobał: postać to silna, szlachetna i niezależna, tylko w literaturze owego czasu bardzo młoda, jako typ.

Jeszcze mniej była uzasadnioną krytyka powieści *W przeddzień*. Zarzucano autorowi niemoralność działających osób i poczytano mu za brak patryotyzmu, że bohaterem uczynił nie-rosyanina. „Pomiędzy rosyanami takiego typu nie było, a takiego właśnie jak Insarow, bulgara, znałem z opowiadań i notatek mego przyjaciela Karatiewa, który zginął podczas wojny krymskiej“ — tłomaczy się Turgeniew we wstępie do tomu III.

Po wydaniu *Nowiny* (1876) oburzono się kompletnie na Turgeniewa. Jeden recencent zawyrokował podobno, iż należy na nią plunąć, inny że i plunąć nie warto.

Z czasem brutalne te sądy otrzymały pewną równowagę, w każdym razie stanowią one ilustracyę do uprawianej zbyt często najhaniebniejszego rodzaju krytyki: nie podoba nam się, co X. pisze; X. zdrajca—wołamy i rzucamy mu w twarz błotem. O *Nowinie* autor powiada, iż kosztowała go wiele pracy. Przedstawiona grupa musiała mu być bardziej obcą, niż tacy np. Rudiny, Ławreccy, wśród których żył, o których się ocierał. Ludzi nowego, rewolucyjnego pokroju obserwuje Turgeniew na zimno, krytycznie, jak aktorów w nieodpowiednich lub niedouczonych rolach, a że patrzy na nich ze zbyt wielkiej odległości, wydają mu się karłami, a ruchy ich — bezmyślnem kręceniem maryonetek. Zmysł odczuwania najlżejszych zmian w uderzeniach społecznego pulsu słabnie u Turgeniewa od 1867 r., jak i wogóle talent jego maleje; dla tego też *Nowina*, jako kartka społecznego życia rosyjskiego i jako utwór artystyczny, stoi znacznie niżej od powieści poprzedzającego okresu. Turgieniew się zestarzał; nic też dziwnego, że już z pokoleniem młodem nie powtórzy poprzednich haseł: „jesteśmy młodzi i zdobędziemy świat cały, niech struny nasze brzęczą jak świat szeroki, albo niech się porwą (*W przeddzień*), nie cofa się wprawdzie, ale drogę naprzód bada, oglądając się ostrożnie i kroki mierząc.

„Można czekać i nic nie robić, ale można czekać i posuwać sprawę naprzód“ twierdzi Sołomin, który zdaniem autora rozumie lepiej od innych istotę rzeczy. Kazał czekać, czy był odstępcą? — Nie. Nie był nim i sam Turgeniew, bo nie przeniewierzył się partyi liberalnej, chociaż, przedstawiając zmianę jej fizyognomii w 1876 r., z zapaleńcem Markełowem „oby prędzej!“ nie woła, tylko z flegmatycznym Sołominem „jeszcze czas,“ — zdaje się mówić.

(D. n.)

SZCZĘŚCIE WOBEC PESYMIZMU.

II.

Jeżeli miarą udoskonalenia danej istoty jest jej zupełne przystosowanie do warunków życia, to owa dążność do postępu, przez którą czujemy się wyżsi nad zwierzęta, jest — jak twierdzi p. Paulhan — powodem, że pod pewnym względem człowiek jest niższym od zwierząt. Wprawdzie ma on wyższy stopień przystosowania, gdyż (Spencer) ma więcej stosunków zewnętrznych, odpowiadających wewnętrznym, ale jest w tem znaczeniu niższy od zwierząt, że u tych ostatnich pewne stosunki konieczne, wskazane przez naturę, są bardziej ustalone. Człowiek np. za pomocą przemysłu wytwarza sobie ubranie, które chroni go od pewnych wpływów otoczenia, zwierzę tego nie potrzebuje, ale czyż to dowodzi, że jest ono niższem? Dla zwierzęcia odzież nie jest koniecznym warunkiem przystosowania. Nie potrzebuje ono niepokoić się zagadkami o pochodzeniu swego gatunku i na tem nic nie traci, gdy tymczasem człowiek z natury swego umysłu pytania takie stawiać sobie musi. Warto zauważyć—dodamy od siebie mimochodem — że nie mówiąc już o najwyższych duchowych dążeniach człowieka, w zakresie potrzeb życia czysto fizycznego, ma on większą aniżeli zwierzęta możność nietylko przystosowania się do warunków, ale przetwarzania ich dla swej korzyści, i to właśnie jest siłą jego jako gatunku, to stanowi o jego przewadze biologicznej nad zwierzętami, które nie mogą wytwarzać sobie warunków istnienia i przenosić się tak swobodnie i walczyć z wpływami klimatycznymi lub geograficznymi. Paulhan twierdzi, że duchowe dążności są najszlachetniejszym przymiotem rodu ludzkiego, że pochlebiają pojęciu naszemu o godności człowieczej, że szczęście, jakie znajdujemy w zaspokojeniu pragnień wyższych, jest tylko więcej wartem, aniżeli nieszczęście, płynące z zaspokojenia potrzeb rodzaju, co jednak nie stanowi dowodu, że szczęście takie wogóle ma większą wartość. Nic więc dziwnego, że towarzysze Ulisesa, zamienieni na trzodę chlewną, nie chcieli zostać ludźmi, gdyż dobrze im było w chlewach a uczuć ludzkich nie zachowali. Ze stanowiska teoryi szczęścia życie zwierzęcia szczęśliwego może mieć więcej wartości, aniżeli życie nieszczęśliwego człowieka. Człowiek, rozwijający się na drodze postępu, może być wyższym jako *gatunek*, ale może być niższym jako *osobnik* od danego osobnika zwierzęcego, ponieważ jest mniej w swym rodzaju doskonałym. Osobnik, który osiągnął granice swego rozwoju, ma pewną wyższość nad tym, który musi ciągle iść naprzód. Tak więc—jak twierdzi p. Paulhan—postęp może być uważanym z jednej strony jako czynnik szkodliwy wogóle dla szczęścia gatunku i jest objawem niedoskonałości, z drugiej wszakże jest on czynnikiem koniecznym dla osiągnięcia szczęścia. Wytwarza wprawdzie nowe dążności, nowe potrzeby, co jest złem, ale zarazem dąży do ich zaspokojenia.

Zanim pójdziemy dalej za śladami myśli autora, zaznaczymy, że porównanie jego pomiędzy szczęściem zwierzęcem i ludzkiem, niezupełnie wytrzymuje krytykę. Zwierzę, chociaż nie postępuje, może być nieszczęśliwszem z powodu cierpień fizycznych i udręczeń, aniżeli człowiek, żyjący w moralnym i fizycznym spokoju, albo dążący do postępu powolnie, z umiejętnem stosowaniem swych pragnień do możliwości ich zaspokojenia. Nadto wyższość biologiczna człowieka i zdolność przekształcania warunków bytu — dają mu możność pełniejszego zadowolenia wielu instynktów wspólnych ze zwierzętami. Dzięki tej sile umie on lepiej zaspokoić swój głód, pragnienie, wytworzyć słodsze źródło ich nasycenia, żyć spokojniej, aniżeli wiele zwierząt, zajętych ciągłą walką o pokarm, może daleko szerzej rozwijać dzieło utrwalenia swego gatunku, które stanowi wrodzony popęd każdego osobnika. Gdyby złą stronę postępu stanowiło wytwarzanie się nowych pragnień, ideałem szczęścia byłby los kamienia lub kloca, który nic nie czuje i niczego nie pożąda. Owszem, ta siła dążenia ku lepszemu może być i sama przez się bywa rozkoszą, zwłaszcza w tych razach, gdy człowiek może z dumą wspomnieć o potężnych zdobyczach, jakich już dokonał, dążąc przez tyle wieków do zaspokojenia najszlachetniejszych pragnień, tkwiących w jego naturze.

Aby wykazać ujemne działanie postępu, w stosunku do pragnień szczęścia, Paulhan zastanawia się nad kilkoma stronami życia ludzkiego i zwraca uwagę na dwa zasadnicze punkty: 1) że ta sama potrzeba nie może być zaspokojoną w sposób jednakowy; 2) dla zadowolenia jednej potrzeby zwykle ją rozszerzamy i wytwarzamy sobie nowe. Stosuje się to szczególnie do potrzeb umysłowych, które są wynikiem najwyższych dążeń natury człowieczej. Podobnie jak zwykle materyalne pragnienia łatwo zaspokoić w sposób jednostajny i pospolity, tak i pożądania duchowe osób, które stanęły na pewnym stopniu rozwoju umysłowego nasycają się byle romansem, znośną ryciną, a dogmatyczna symbolika starczy im całkowicie zamiast filozoficznych dociekań nad głębszą prawidłowością wszechświata. Umysły, kończące drogę wyższego rozwoju, skazane są — podług francuskiego pisarza — na stan wiecznego niezadowolenia, gdyż dążą do doskonałości, wiedząc, że jej nigdy nie osiągną. Chcą posiąść największą ilość wiedzy, która stała się głównym celem ich życia a rozumią, że zawsze im czegoś brakować będzie, chociażby byli najmędrsi.

Rozumowanie to oparte jest na jednostronnem pojmowaniu miłości prawdy i wiedzy, jako namiętnej gorączki trawiącej człowieka. Dzisiaj jednak nauka ścisła i filozofia racyonalna ochłodziła już owe Faustowskie porywy niespokojnej myśli, która chciała koniecznie ująć wewnętrzną osnowę świata i ssać mleko żywota z macierzyńskich piersi przyrody.

Krytycyzm powściągnął zapędy zbyt niecierpliwych metafizyków, którzy chcieli na skrzydłach Ikara wzlecieć ku miłości prawdy bezwzględnej, wytknął filozofii pewniejsze ścieżki pochodu i kazał się jej rachować z możliwością badania, nie zagradzając drogi do najwyższych zagadek. Chociaż Faustowska gorączka jest dotąd i pewno będzie na zawsze idealnym typem nieprzepartego dążenia myśli człowieczej ku poznaniu prawidłowości świata, jednakże w praktyce praca naukowa, rozumnie podjęta przez jednostkę świadomą swych celów, bywa zwykle ruchem spokojnym, często nawet źródłem wysokich, duchowych rozkoszy. W niewesołej komedyi życia zawieść mogą najgorętsze pragnienia i nadzieje; miłość, żądza sławy lub zysku mogą przepalać duszę człowieczą, nawet święta miłość rodzima zdradza i zakrwawia boleśnie. Ale w sferze duchowego życia szczęśliwe zbratanie się z nauką, praca inteligencyi silnej, podjęta podług dzielnej metody, może napełnić duszę uczuciem trwałego zadowolenia, dać chwile tych spokojnych tryumfów, po których niema rozczarowań i zwątpienia, może uwolnić człowieka od tych palących niepokojów, jakie budzą w jego wnętrzu namiętności proste, szarpiące dusze zarówno mędrców jak i prostaczków. Nawet umysłowe pragnienia niższego rzędu, nawet bezpłodna pracowitość erudytów, chłonących mnóstwo książkowej wiedzy, gromadzących w głowie bezładną masę faktów, daje więcej zadowolenia i wewnętrznego spokoju, aniżeli naprzykład właścicielowi kawałka

ziemi praca rolnicza, połączona z ciągłą troską o jutro, z niepokojem, aby wpływ natury nie zniszczył owoców długiego mozołu.

Więcej daleko słuszności ma inne zdanie francuskiego autora. Prawdą jest niewątpliwie, że rozwój umysłowy człowieka dokonywa się w pewnej mierze kosztem fizycznego, a te dwie dążności ludzkiej natury wybitnie ujawniają wzajemne przeciwieństwo. Wołamy jednogłośnie o oświatę, narzekamy, że umysł męczy się nadmiarem pracy, że ona tamuje rozrost organizmu.

Nie mówiąc już o zbyt jednostronnych opozycyach lekarzów i hygienistów, taki myśliciel, jak Spencer, w swem dziele o wychowaniu protestuje przeciwko lekceważeniu ciała, a Taine wygłasza wymowne pochwały dzielności i piękności fizycznej. Prawdą jest również, że szczęśliwość może dać życie przez pewien czas prowadzone w sposób czysto zwierzęcy, że nadmiar umysłowych wysiłków wywołuje czasem długie, wycieńczające choroby. Prawdą jest, że talenta żyjące podniecone pracą różnym podlegają chorobom nerwowym, że geniusz styka się często z szaleństwem, że ilość obłędów i samobójstw wzmaga się z pochodem cywilizacyi. Zwracamy jednak uwagę, że zboczenia te są wynikiem dzisiejszego jednostronnego rozwoju cywilizacyi, że przypisywać je należy nietylko samym niedogodnościom umysłowego postępu, ile raczej owej pogardzie dla ciała ludzkiego, która jest wynikiem jednostronnej etyki chrześciańskiej i wadliwej pedagogiki współczesnej. Ale właśnie przeciwko temu oddziaływa ciągły postęp umysłowy, wzrost trzeźwej i niepodległej wiedzy, która przywracając prawo zgwałconej fizyczności i łamiąc sztuczny formalizm życia, może stopniowo zmniejszać płynące z tych źródeł cierpienia a rozszerzyć sferę uprawnionej rozkoszy.

Ze stanowiska teoryi szczęścia najwięcej ma wartości, jak twierdzi Paulhan, umysł prosty i zdrowy, z powodzeniem rozstrzygający zagadnienia praktycznego życia, wolny od spekulatywnych zachcianek, umysł, który nie dręczy się tem, że czegoś wiedzieć nie może, nie wyrywa się ku granicom ludzkiej wiedzy, nie zbacza na manowce fałszywych idei, zupełnie tak, jak przywiązana do słupa koza, co pasąc się na równinie, niewypręża nadto sznura, aby nie wpaść w sąsiednie moczary. Takimi byli nasi aryjscy przodkowie, zanim zwichnęli równowagę życia na Wschodzie przez wybujałą religijność brahmanizmu i buddyzmu, a na Zachodzie przez jednostronny kierunek chrześciaństwa. Równowaga umysłowa bywa zwykle krótkotrwałą i czasami tylko się przejawia w życiu narodów, jak np. w Grecyi za czasów Peryklesa. Należałoby dążyć do jej ustalenia, jeżeli jeszcze czas po temu—twierdzi Paulhan, z którego jednak nieco kwietystycznem pojęciem szczęścia zgodzić się niepodobna. Chociaż polega ono na harmonii osobnika z otoczeniem, nie znaczy jednak, aby ta harmonia miała być narażoną na szwank w postępowym ruchu życia i działania ludzkiego zgodnym z prawami rozwoju natury. Nie pojmujemy także, dla czego warunkiem szczęścia ma być wyzwolenie się od spekulatywnych dążeń. Wszakże w owym szczęśliwym wieku Peryklesa grecy filozofowali gorliwiej, aniżeli dzisiejsze najbardziej ucywilizowane narody, a dysputy spekulatywne były ulubionem zajęciem młodzieży, dostępnem nawet dla niewolników. I spekulatywność może być źródłem wysokich umysłowych rozkoszy. Dla wyższych umysłów ideałem szczęścia są raczej orle poloty myśli i natchnienia, aniżeli powolne dreptanie po gładko i wygodnie ubitych ścieżkach zdawkowego racyonalizmu. Tuczący się spokojnie w wygódkach mieszczanin może się lękać, aby ferment mózgu nie nadwerężył mu trawienia; ale człowiek potężnej inteligencyi lub płodnej wyobraźni woli szczęśliwe chwile twórczości lub tryumfu wiedzy, okupione nawet ciężką, długotrwałą pracą, aniżeli całe lata straconego spokoju i życia płynącego śród wygódek, jak strumień w płytkiem, gliniastem łożysku.

J. Kotarbiński.

LIBERUM VETO.

Rodak przegrał, ziomek się wyparł. — Turkom głów nie zdejmowano. — Może to i lepiej, że Teatr Rozmaitości spłonął. — Radość widzów. — Pilniejsze potrzeby i płócienne szałasy. — Wspomnienie. — Odgrzany jubileusz. — Uwięzienie Kraszewskiego. — Możliwość i prawdopodobieństwo. — Ważny element.

Same nieszczęścia! Winawer, podczas każdego turnieju szachowego bozsprzeczny „nasz rodak" (w zwykłym biegu rzeczy „żyd warszawski") został w Londynie pobity, czyli „nie był do gry usposobiony;" główny zwycięzca Zuckertort, którego dawniej nazywaliśmy „naszym ziomkiem" a dziś już tylko mianujemy „żydem suwalskim," ofiarował Anglii swą miłość a więc i chwałę z 20 wygranych partyj; *święty ogień* (jak się wyraża *Kuryer Warsz.*) koni na Mokotowskiem polu stale zalewały deszcze i przeszkadzały im „dążyć do jednego celu jak konserwatywnej prasie" (tenże słownik), a do tego wszystkiego jeszcze na wystawie inwentarza nie odbył się karuzel, ów karuzel, na którym pod naszymi mieczami miały spaść „głowy tureckie" i pomnożyć nam liczbę Sobieskich w dwóchsetną rocznicę odsieczy Wiednia. Do tych nieszczęść nie dołączam spłonięcia Teatru Rozmaitości, gdyż znaleźli się poczciwi ludzie, którzy nam w jego popiołach odgrzebali iskierkę szczerej radości. I tak jeden fejletonista pisze: Teatr Rozmaitości był *budą*, zawsze (?) niebezpieczną dla życia publiki i aktorów; jeśli więc szczęśliwe nieszczęście zdarzyło, że się spalił, nie pociągając za sobą ani jednej ofiary z życia ludzkiego, *to może i lepiej*." Jak wiadomo, należę do ludzi, którzy „tylko burzyć umieją, nic nie budując;" nigdy wszakże nie wpadłbym na myśl, iż „może to i lepiej," że Teatr Rozmaitości się spalił. Bo chociaż był on „budą," sądziłem, że przez czas jakiś jeszcze zachować go warto, że mając do pokrycia mnóstwo rozpoczętych a nieskończonych wydatków, powinnibyśmy zaczekać z nowem przedsięwzięciem, bardzo kosztownem. Jeśli zmyliłem się, w takim razie szanowny fejletonisto, ty weź bańkę z naftą a ja paczkę zapałek i rozpocznijmy podpalanie wszystkich „bud" — „może to będzie lepiej." Naprzód podłóżmy ogień pod ciasne i zabójcze dla zdrowia „budki" rejentów, potem pod Teatr Wielki, następnie pod wszystkie kamienice Starego Miasta itd. Nie chcesz? Nie pojmuję, dlaczego byśmy nie mieli mnożyć „szczęśliwego nieszczęścia," nic — to „lepiej!"

Radość, zapaloną widokiem pożaru, dostrzegł również drugi kronikarz — w sercach publiczności. „O ilem ją widział — powiada on — na ulicy Kotzebuego i Niecałej, dowiedziawszy się, że w teatrze nie było przedstawienia, bawiła się tak dobrze tym pożarem, jak *każdym innym* (szczególne źródło rozrywki!) Co ważniejsze, słyszałem mówiących: — Prawdziwa łaska, że się spalił w tych warunkach, nie w innych. Był on skazany (!) na taki los i mógł nam narobić strasznego nieszczęścia" (pożar hipoteki również). Ale fejletonista drugi jest jeszcze okrutniejszym, niż pierwszy, bo nie tylko słyszy w ustach publiczności prawdziwe zadowolenie, ale nawet oświadcza się przeciw wzniesieniu teatru kosztem składek publicznych, które dotąd nie zalatwiły jeszcze potrzeb pilniejszych: restauracyi kościoła P. Maryi, pomnika Mickiewicza, budowy gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. „Co się mnie tyczy — kończy on — sądzę, że lepiej byłoby dawać widowiska w płóciennych szałasach (!), nb. w lecie (łaska!) niż doczekać tego, żeby na ulicach Warszawy psy zjadały podrzutków, jak to już miało miejsce *przed* kwestą Baudouina." Ponieważ dziś na ulicach Warszawy psy już nie zjadają podrzutków, a kapitały na założenie nowego przytułku już dawniej zaofiarowywano bez skutku, gdyż nie otrzymano pozwolenia, więc możemy pomówić tylko o „płóciennych szałasach" i „pilniejszych potrzebach." Przed kilku laty p. Rogoziński zażądał od nas kilku czy kilkunastu tysięcy rubli na „*pierwszą* polską wyprawę do Afryki" dla zbadania jezior Liba i gór Kameruńskich. Nie odmawiając naukowej użyteczności temu przedsięwzięciu, oświadczyłem się przeciw spełnieniu go kosztem ubogiego społeczeństwa, które swej biedy wyłatać nie może. Wtedy skarcił mnie ten sam mąż, który dziś żałuje publicznych składek na teatr i każe dawać przedstawienia „w płóciennych szałasach," chociaż od tego czasu nowe „pilniejsze potrzeby" nie zrodziły się. A więc: zbadanie jezior Liba i gór Kameruńskich było dla nas „potrzebą pilniejszą," niż odbudowanie teatru, jednego z głównych i ostatnich schronień swojskości. Wyznaję, że tej głębokiej filozofii, przytulającej do jednego łona podrzutków i góry Kameruńskie a lekceważącej przybytek sztuki narodowej — nie rozumiem. Nie padam na kolana przed teatrem, ile razy on służy za świątynię bałwochwalstwa aktorów, ale uważam go za instytucyę pierwszorzędnej wagi, o ile kształci estetyczny smak społeczeństwa i podtrzymuje jego swojskość. Czesi mieli także swoje „pilniejsze potrzeby" i płótno na „szałasy," a jednakże dwukrotnie z kwesty wznieśli sobie teatr narodowy. Jeżeli my naszego nie zbudujemy, ale zrobi to ktoś inny, ów ktoś inny będzie mógł nim rozporządzać nawet bez niemego z naszej strony protestu — prawda p. Pichno? Jeżeli teatr ma być *naszym*, musi powstać za *nasze* pieniądze.

Za jakie?

Jestem pewien, że gdyby zebrać koszta bukietów, wieńców, bransoletek i innych upominków wielbicieli talentów aktorskich, zgromadzilibyśmy znaczną część potrzebnego funduszu. Bo należy pamiętać, że zaczynają u nas wchodzić w zwyczaj aż podwójne obchody teatralnych jubileuszów. Prawdziwie żal mi było tak zasłużonego i znakomitego artysty, jakim jest Żółkowski, któremu urządzono jakąś oktawę uroczystości jubileuszowej, biesiadę odgrzanych zapałów. Czemu one nie objawiły się w właściwej porze? Co za powód do wyciągania znowu słynnego komika na scenę, robienia mu owacyi i wręczania darów? Spóźnieni czciciele powinniby pozostawić humorystykę Żółkowskiemu a dla siebie zachować powagę. Cobyśmy sądzili o pomyśle sprowadzenia Kraszewskiego po raz drugi do Galicyi i wyprawienia mu jubileuszu, dla tego, że kilku szewców z Kielc lub tkaczów z Łomży nie zdążyło, czy zapomniało przesłać mu swych darów?

Biedny Kraszewski, cokolwiek bądź — biedny. Za co go osadzono w więzieniu berlińskiem, dotąd niewiadomo. Jedne gazety zapewniają, że go oskarżył fałszywie jakiś denuncyant, mszcząc się za odmowę okupu, inne utrzymują, że znaleziono dowody, przekonywające, iż Kraszewski był agentem rządu francuskiego do śledzenia tajemnic wojskowych w Niemczech. Chociaż ludzkie oko granic możliwości nigdy nie dojrzało i chociaż sądy pruskie lekkomyślnością nie grzeszą, nie mogę w żaden sposób pogodzić się z przypuszczeniem, ażeby 70-letni schorowany i piórem jedynie zajęty starzec, który na niedostatek

nie cierpiał, który używał najwyższej czci swego narodu, który ostatnimi czasy sam występował przeciwko awanturom politycznym, któryby takiej służby pod żaden uczciwy, patryotyczny walenrodyzm podciągnąć nie zdołał, ażeby ten człowiek wynajął się francuzom za szpiega. Jestto cóś tak nieprawdopodobnego, jak doniesionie, że Supiński został korsarzem lub Małecki inspektorem szkół w Poznaniu. To, co Kraszewski, ułakomiwszy się na podobny zarobek czy ochotnictwo, mógł zyskać, jest pyłkiem w stosunku do tego, coby stracił. Nie wyrósł i życia nie spędził śród hazardów i spisków politycznych, nawet w swych dawniejszych uniesieniach był bardzo umiarkowanym, skądże by więc, bez jakiejś niewytłomaczonej metamorfozy, przy schyłku życia objawiła się w nim dziwaczna i niezaszczytna awanturniczość. Szpiegowanie niemców dla francuzów — to nie żadna robota, którąby nawet przez pośrednictwo rozumowań naciągniętej logiki z jakąś korzyścią polskiego narodu związać można. To prosty najem albo zamysł obłędnej fantazyi. Ani jeden, ani drugi do prawdopodobieństwa nie pasują. Jeżeli głęboki smutek nasz, przed odsłonięciem prawdy, czemkolwiek złagodzić można, to chyba tylko domysłem, że znakomity pisarz padł ofiarą albo niecnej intrygi, albo też swej łatwowierności. Kraszewskiego otaczała zapewne ciżba wędrownych polityków, którzy zrobiwszy sobie z Europy łamigłówkę, układali ją według fantazyjnych planów, którzy ciągle trzymali uszy przy dziurkach drzwi gabinetów dyplomatycznych i dostrzegali znaki nadchodzącej burzy a, co najmniej, lubili nurkować. Nie podzielając owych rojeń, nie zatykał może przed nimi uszu po prostu z wrodzonej dobroci i z tej słabości serca, które zwłaszcza na poezyę cierpień i nadziei jest wrażliwem. Jeżeli zatem ktoś z tego orszaku wstąpił do wiecznie dla nas sympatycznej i nieuleczalnie z naszymi interesami utożsamianej służby francuskiej, mógł w jej skutki wciągnąć Kraszewskiego. Jakoż łącznie z nim uwięziono kilku polaków. Ale wszystko to jest domysłem, któremu bodajby lepsza od niego rzeczywistość w każdym punkcie zaprzeczyła. Gdyby zaś ona miała być gorszą, — doprawdy powtórzymy sobie raz jeszcze, że jesteśmy narodem bardzo nieszczęśliwym.

Nie chcąc pozostawiać czytelników pod przykrem wrażeniem tajemniczego wypadku, kończę moją pogadankę szczegółem arcywesołym. P. Jeleński wytoczył *Kuryerowi Warszawskiemu* proces o przerwanie zapłaconego inseratu o *Roli*. Otóż obrońca *Kuryera* między innemi usprawiedliwiał swego klienta (jak donosi *Kuryer Poranny* i *Wiek*) tem, że „*Rola* powstaje przeciwko żydom, a jednak żydzi stanowią w społeczeństwie naszem *element ważny* i (może: *bo*) podają dużo ogłoszeń." Trudno o socyologię idealniejszą.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Nowa geografia Wołynia.—Optymizm pana Wesołowskiego.—Otwarte drogi i koń pana Dobrogosta.—Wychowanie z bonifratrami i bez nich.—Dziobanie inżenierów przez *Now. Wremia* —Latająca biblioteka i latający ziemianie.—Niebezpieczeństwa opłaty z góry.—Dramat małżeński.

Ile jest *Wołyniów*?

Wołyniów jest dwa: Wołyń *Gazety Polskiej* i Wołyń *Gazety Rolniczej*. W pierwszym wszystko idzie ku lepszemu, w drugim — ku ostatecznej zagładzie.

Najgłówniejsza reforma, jaką w swojej prowincyi dostrzega korespondent *Gazety Polskiej* jest „rozumna dbałość o wychowanie naszej młodzieży, której wszyscy ziemianie bez wyjątku się oddają... Prowincye nadbałtyckie, gdzie nie panują między młodzieżą *te skrajne napływowe zasady* (brr!) służą głównie od niejakiego czasu za miejsce obrane przez ziemian tutejszych i litewskich dla wychowania młodzieży." Natomiast na Wołyniu *Gazety Rolniczej* „wśród młodego pokolenia ziemian spotykamy coraz mniej ludzi wykształconych w wyższych a nawet średnich zakładach naukowych; za to widzimy liczne zastępy trzecio i czwartoklasistów, którzy zmarnowali bezowocnie grosz rodzicielski, ofiarowany na ich naukę, osiedli na roli ojców, aby gospodarować po staremu na ślep, opatrznościowo, bez poczucia żadnego obowiazku społecznego i bez najmniejszych pojęć—z chemii, fizyki, botaniki i w ogólności z nauk przyrodniczych..." Taki system gospodarstwa jest o wiele gorszym od sposobów przyjętych na Wołyniu *Gazety Polskiej*, gdzie „nietrudno spotkać się z płodozmianem, z uprawą traw pastewnych i roślin okopowych, o których dawniej ledwie zasłyszeć było można" i gdzie „widać, jednem słowem, we wszystkiem dbałość, energię i wyraźne przebudzenie się do poczciwej produkcyjnej pracy."

Ponieważ p. Wesołowski pisał swe *listy* do *Gazety Rolniczej* w końcu maja, a korespondent *Gazety Polskiej* położył na swoim datę 1 czerwca, przypuszczam więc, żeowe cudowne zmiany ku lepszemu zaszły w nocy z 30 na 31 maja. Jeżeli tak było w istocie, to koty i sowy wołyńskie miały niezwykły widok, a myszy polne—niezwykły spokój. Miauczące czworonogi widziały tedy, jak wywożono do Rygi i Dorpatu tłumy rozbrykanych gagatków czwartoklasistów, zatykając im watą uszy przed „temi napływowemi zasadami," jak potem na gwałt zasiewano koniczynę i wykę i jak wogóle budzono do życia „energię," która spała, jak każda przyzwoita istota — w nocy.

Gdy się to wszystko działo, p. Feliks Wesołowski spoczywał również snem sprawiedliwego, a potem wstawszy zrana i nie wiedząc o niczem jeszcze, napisał do *Gazety Rolniczej* list zatruty jadem zazdrości. Do ziemian naszych miał on odwagę przemówić w sposób następujący: „Wy, którzy macie drogę otwartą przez prawo do *pracy społecznej* jesteście szczęśliwsi od nas, którzy takiej drogi przed sobą nie widzimy. Gmina wasza stanowi podwalinę społeczną i pierwszą jednostkę administracyjną i sądowniczą w kraju... Gmina powszechna powołuje was do życia i na każdą oświeceńszą waszą jednostkę wkłada obowiązki pracy społecznej... Mając prawo pracować w sferze gminnej, macie racyę bytu społecznego."

Ależ panie! Chyba pan nie czytujesz naszych gazet, skoroś nie słyszał, że my sami nie wiemy, co zrobić z tą naszą „pierwszą jednostką." List pański zakrawa na niegrzeczność, przypomina on nam, że dla zespolenia się z ludem nie dość jest włożyć kurtkę żokejską. Trudno panie: robi się co można. Droga rzeczywiście dla wszystkich jest otwartą, alejak na teraz do mety udało się dobiedz tylko koniom pana Dobrogosta.

Nie myśl pan jednak, aby tak skromne rezultaty pochodziły z naszej małej dbałości o oświatę młodzieży. Przeciwnie: synów naszych uczymy tak gorliwie, że niektórzy z nich dostają pomieszania zmysłów, „z oznakami wielkiej gwałtowności." Taki przynajmniej los spotkał w Płocku jakiegoś pracowitego młodzieńca, którego starań najnowsza pedagogika nie pozwalała ocenić nawet na 2 całkowitych i 99 setnych. Donosi o tem *Keresspondent Płocki*.

Inni, którym udało się skończyć uniwersytet, nie zawadziwszy o bonifratrów, są teraz dziobani przez *N. Wremia*. Cierpią na tem szczególniej inżenierowie pracujący na drogach poleskich pod przewodnictwem p. Chrzanowskiego. Gazety petersburskie dostrzegły, że jest tam za duży *procent* inżenierów polaków. Nie rozstrzygając, jakie ma znaczenie narodowość dla trójkątów, ostrosłupów i astrolabii, zauważę tu tylko wraz z *Gazetą Polską*, że insynuacye petersburskie są fałszem. Od czasu bowiem powołania na naczelne stanowisko p. Chrzanowskiego, ilość polaków na owej drodze się zmiejszyła.

Starsi ziemianie nasi za to mniej gorliwie służą bogom mądrości. W okolicach nadwieprzańskich np. Minerwa ciężką niedawno poniosła klęskę. *Obywatele* tameczni umyślili, jak o tem wspomniałem kiedyś, założyć *bibliotekę latającą* — zapewne, aby mieć książki do czytania. Składkę oznaczono na rs. 3 miesięcznie. W pierwszym miesiącu wszyscy uczestnicy tej latającej instytucyi uiścili się ze swych zobowiązań, w drugim... znamy! znamy! Dzisiaj *obywatele* przylecieli na wyścigi, ale biblioteka już nie lata, bo ją rozlosowano... Odważyłbym się tutaj dać jedną radę szanownej nadwieprzańskiej oświacie. Oto, szanowna pani, doradź swym możnym wielbicielom, aby, wybrawszy kierownika, złożyli na jego ręce składki mniejsze niż dawniej, ale za cały rok, a przynajmniej za pół roku *z góry*. Zakupy można będzie robić miesięcznie, aby mieć zawsze najświeższe wiadomości literackie, ale już w odbieraniu opłaty nie dozna się żadnej mitręgi.

Opłata z góry nie zawsze jednak jest korzystną—zwłaszcza, jeżeli mamy do czynienia ze sprytnym „kierownikiem" niemieckim. Dowiedział się o tem niedawno jakiś zacny *głos z prowincyi*, wołający teraz o pomstę do... redakcyi *Wieku*. W przeszłym roku jeden z sąsiadów *głosu*, ubezpieczony w niemieckiem towarzystwie gradobicia, został dotknięty tą klęską; niezwłocznie też wysłał depeszę do zarządu, prosząc o przysłanie taksatora. Towarzystwo dopiero po upływie sześciu tygodni raczyło wysłać swego przedstawiciela, który stratę 12,000 marek ocenił na 1500... Potrzeba było poddać się niesprawiedliwemu wyrokowi, od którego nie uchroniła ziemianina i ta okoliczność, że składkę zapłacił z góry. Głos z prowincyi poczuł z tego powodu taką energię, iż wystąpił teraz przeciw wszelkim ubezpieczeniom się rolników, z wyjątkiem asekuracyi ogniowej. Gdybyś, zacny głosie, mówił takie rzeczy tylko na prowincyi, nie byłbyś narażonym na to, że nawet tak łagodna piastunka, jaką jest redakcya *Wieku*, robi ci uwagi o.. niesłuszności.

Na zakończenie dzisiejszej mojej kroniki opowiem wam, czytelnicy, o jednym z tych wypadków, które mi każą zawsze dziękować niebu, żem się dotąd nie ożenił. We wsi Zawieprzyce, w lubelskiem, mieszkało młode małżeństwo. Mąż kochał bardzo żonę, która go też porzuciła i uciekła do Lublina. Ponieważ dla pewnych sfer regulatorem spraw sercowych może być kodeks karny, więc też za pomocą któregoś z paragrafów prawa odebrał stroskany małżonek swoją połowicę. Nastąpiła pozorna zgoda obojga i prawdziwe upicie się męża. Pijanego zaprowadziła żona do stodoły. Gdy zasnął, zawiązała mu powróz u szyi, a przerzuciwszy drugi koniec sznurka przez belkę, pociągnęła ciało do góry. Powieszonemu —dla skrócenia pewno męczarni—zadała siedem ran tępym drągiem. Tak obrobiony pacyent zdołał jednak jeszcze krzyczeć i wołać o pomoc, która też niebawem w osobie jego sąsiada nadeszła. Panią aresztowano — życiu męża zagraża niebezpieczeństwo.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 19 czerwca.

Rząd pruski, nie mogąc dojść do porozumienia z Kuryą rzymską, wystąpił z własnym projektem uregulowania stosunków kościelnych. Projekt ten wniesiony został do sejmu i po krótkich obradach odesłany do komisyi sejmowej, która ukończyła już pierwsze czytanie i zmieniła niektóre artykuły ustaw majowych, np. prawo rządowego veto przy obsadzaniu posad duchownych. Z opozycyą wystąpili dotychczas członkowie centrum, ale i to warunkowo, przyjmują bowiem właściwie projekt, tylko z zastrzeżeniem, że nie przesądza on w niczem przyszłych układów z Watykanem.

Z powodu właśnie rozpraw nad nowem prawem, a raczej pod pretekstem tego, przywódzca stronnictwa liberalnego, niegdyś marszałek parlamentu i prawa ręka Bismarka — Bennigsen złożył mandaty do sejmu pruskiego i sejmu rzeszy. Fakt ten wywołał w Niemczech ogromne wrażenie. Wraz z Bennigsenem opuszcza parlament znany Edward Lasker, który wyjeżdża na czas jakiś do Ameryki.

Sejm niemiecki po 13 - miesięcznych obradach został zamknięty. Działalność jego nie przyniosła żadnych prawie owoców, a jeżeli ma jaką zasługę, to czysto negatywną. Walcząc z rozwielmożniającą się reakcyą nic zbudować nie mógł, potrafił tylko sprzeciwić się projektom monopolu tabacznego, podwyższenia cła na drzewo itp. i odciągnąć na krótko kwestyę zatwierdzenia dwuletnich budżetów. Mimo to zachowawcy tryumfowali niejednokrotnie, a w kilku wypadkach pomogło im do zwycięstwa „stojące na straży interesów kraju“ Koło polskie. Na ostatniem posiedzeniu Liebknecht domagał się znowu zniesienia wyjątkowych postanowień przeciw socyalistom. Poparł jego żądanie postępowiec Richter z nader oryginalnych powodów, twierdzi bowiem, że wyjątkowość owa zamiast szkodzić zabiegom socyalistów, pomaga im tylko ze szkodą lojalnej i otwartej opozycyi stronnictw liberalnych. Wywiązały się z tego nader ożywione rozprawy, ale przerwał je minister Bötticher, oświadczając, że kadencya sejmu rzeszy jest zamknięta.

Zaczynamy powoli zgłębiać tajemnice powodzenia „kandydatur narodowych“ w Galicyi. Posłowie rusińscy zamierzają wystąpić z protestem przeciw niektórym wyborom, gdzie „rozumna polityka“ zbyt widocznie posiłkowała się argumentami spirytualnymi lub powagą żandarmskich mundurów. Do takich zakwestyonowanych przedstawicieli narodu należy pomiędzy innymi i J. E. namiestnik p. Alfred Potocki, który oprócz uroku władzy, używał przy wyborach i innych niezbyt legalnych środków. Inny znowu poseł p. starosta Barański zamyśla dobrowolnie złożyć mandat, zwątpiwszy o zwycięstwie swej sprawy.

Na 29 lipca rusini zwołują wiec narodowy we Lwowie, na którym powzięte będą postanowienia co do kierunku przyszłej polityki w sejmie. Myśl o secesyi nie znalazła poparcia w prasie. *Diło* występuje przeciw temu projektowi, utrzymując, że naród ruski za mało jest rozwinięty politycznie, aby mógł skutecznie działać w ten sposób.

Komisya senatu francuskiego odrzuciła przedstawiony przez Izbę projekt prawa o rozwodzie a natomiast przyjęła inny, ułożony przez Eymard-Duvernay'a, zezwalający na rozwód tylko w razie: opuszczenia, dowiedzionego cudzołóstwa, albo jawnie gorszącego sposobu życia którego bądź z małżonków i zbrodniczego zamachu jednego na życie, wolność lub honor drugiego. Nadto Izba rozpoczęła obrady nad wnioskiem o prawie poszukiwania ojcowstwa; niema wątpliwości, że zgodzi się ona na pogląd wnioskodawcy, ale zapewne senat jej uchwałę odrzuci albo też zmieni do niepoznania rozmaitemi poprawkami. Do przedstawienia nowego prawa skłonił deputowanego Riveta następujący wypadek: pewien włościanin w Nogent-le Rotron zaślubił własną córkę naturalną, której nigdy urzędownie nie przyznał, jakkolwiek nie taił się, że ją za swoją uważa.

W Tonkinie tymczasem nie zaszło nic szczególnego. Ministerstwo odmówiło Izbie szczegółowych wyjaśnień w tej sprawie, nadmieniając tylko, że jest nadzieja utrzymania dobrych stosunków z Chinami. Pomimo to jednak nowe posiłki odpływają do Kochinchiny. Skrajna lewica zamyśla wnieść z tego powodu interpelacyę, potępiającą politykę kolonialną gabinetu. Pomyślne wieści natomiast dochodzą z Algieru, powstanie w południowych prowincyach zostało uśmierzone stanowczo.

W Albanii znowu coś się popsuło.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nominacya. Generał Hurko mianowany został generał-gubernatorem warszawskim.

Szkoły. W Łucku, dla upamiętnienia koronacyi, powstał projekt założenia gimnazyum. Rada miejska rozesłała już listę subskrypcyjną, podpisy zbierają się gorliwie. Oczekiwanem jest również wsparcie od rządu. Dotychczas Wołyń na 2,000.000 mieszkańców ma tylko jedno gimnazyum i to na krańcu gubernii w Żytomierzu i szkołę realną w Równem.

Protest. Odbieramy zawiadomienie następujące: „Walne Zgromadzenie członków „Koła artystyczno-literackiego,“ odbyte w d. 13 czerwca b. r. poleciło podpisanym zawiadomić Sz. Redakcyę o następującej „jednogłośnie“ powziętej uchwale:

„Ponieważ pomimo uznania przez ogół rynku krakowskiego za najwłaściwsze miejsce na pomnik Mickiewicza i pomimo stanowczej w tej mierze uchwały pełnego komitetu, pojawił się projekt wzniesienia pomnika wieszczowi na placu między budynkami uniwersyteckimi, popierany przez kilka nieobeznanych z miejscowością dzienników warszawskich — Walne Zgromadzenie członków „Koła artystyczno-literackiego“ jednogłośnie uchwala wyrazić opinię, że plac nowoprojektowany tak z uwagi na znaczenie pomnika, jako też i ze względów estetycznych jest najzupełniej nieodpowiednim. O uchwale tej poleca Walne Zgromadzenie zawiadomić JW. Prezydenta miasta dra F. Weigla, jako przewodniczącego Komitetu pomnikowego oraz wszystkie Redakcye czasopism polskich.“

Wypełniając wolę Walnego Zgromadzenia mamy zaszczyt pozostać z najgłębszym szacunkiem *Juliusz Kossak*, prezes Koła, *Dr. A. Asnyk*, zast. prezesa, *K. Bartoszewicz*, sekretarz.

Teatr. O przedstawionej niedawno w Teatrze Letnim 4-aktowej farsie Fredry (syna) *Oj młody, młody* powiemy krótko, że jest to jedna z najweselszych kawalerskich facecyj, jakie kiedykolwiek okazały się na deskach naszej sceny. Treścią jej są pustoty młodzika, który, dostawszy się na wieś, pomiędzy grono powabnych kobietek, broi na potęgę, zrywając gdzie może zakazane owoce, albo przynajmniej próbując ich przedsmaku. Są tam sytuacye bardzo sprzeczne, zarazem dające szerokie pola do domysłów, są efekty tak drastyczne, że dziwimy się tym razem pobłażliwości naszej krytyki, która surowo karci grzeszki przeciw przyzwoitości. Gdyby który z postępowców napisał taką sztukę, dostałby okropne cięgi jako szerzyciel zgorszenia, ale panu hrabiemu puszczono płazem te niewinne grzeszki. Ponieważ teatr nie jest dla pensyonarek, nie mamy Fredrze za złe, że pozwolił nam się zabawić trochę swawolnie, tembardziej, że sztuka od początku do końca tchnie szczerym humorem, jest ruchliwą jak żywe srebro i zupełnie oryginalną. Nie trzeba szukać tam głębszej przystani, ani donioślejszej treści, ale kto się chce rozśmiać z pełnego gardła, temu polecamy ten nowy utwór naszego facecyonisty, jako doskonałe lekarstwo na kwaśny humor.

Grano farsę wogóle dowcipnie i z gustem. Żółkowski w drobnej rolce był doskonałym, a pp. Wolski i Ostrowski darowali widzom zupełną chwilkę szczerej wesołości.

Kwestya felczerska. Z powodu projektowanej obecnie przez władzę reformy szkoły felczerów w Warszawie, Tow. lekarskie postanowiło zająć się wyczerpującem zbadaniem tej sprawy wogóle. Zamiast myśleć o zupełnem zniesieniu felczerów, czyby nie lepiej było postarać się o podniesienie ich wykształcenia i utworzenie kursów dla kobiet, co uczyniono w wielu miastach rosyjskich, zwykle z inicyatywy ziemstw. Kobiety-felczerki spełniają wybornie swoje obowiązki i zasłużyły na szczere uznanie.

Wychowanie klasztorne. *Journal de Ploermel* komunikuje fakt, że w szkole dla dziewcząt w Saint-Malo de Trois utrzymywanej przez zakonnice, z liczby 50 uczennic, 35 dostało dziwnej choroby nerwowej, mającej objawy t. z. „tańca św. Wita.“ Władza nakazała natychmiast zamknąć szkołę.

Drang nach Osten. Z gub. warszawskiej przesiedliło się na Wołyń 2236 kolonistów-niemców. W powiecie łęczyckim w 5 koloniach pozostało trochę tylko niemców, grunta od wychodźców zakupili miejscowi włościanie.

Wynalazki. Ks. Ravaglia wynalazł za pomocą zastosowania elektryczności przyrząd, pozwalający za naciśnieniem guzika otwierać jednocześnie wszystkie drzwi i okna w całym domu.

Święte muzeum. Do miasta Tours we Francyi przybył przedsiębiorca przenośnego muzeum pod nazwą *Sanctum-magasin*, w którem znajdują się rozmaite ciekawe relikwie, np. kamień z wieży Babel, kawałki paznokci św. Kunegundy, ogon świni św. Antoniego i t. p.

Do dzisiejszego numeru „Prawdy“ dołączą się prospekt „Kuryera Codziennego“ na prowincyę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Іюня 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.